

STEFAN ŻEROMSKI

Międzymorze


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

Międzymorze

*Drużynie harcerskiej męskiej imienia Adama Żeromskiego w Sejnach swe — „czuwaj!” —
z głębi serca przesyła autor.*

„... Grzmiącymi pierściami białe roztrąca się morze i z pianistej gardzieli piasku strumienie wylewa...”

Adam Mickiewicz

Zachwyciła się fijołkowa chmurka pięknnością rogatego księżycy na godzinę przed wschodem.

Rozpostarła się, ni to uwielbienie bezsilne przed srebrnym majestatem, w dole jego połyskliwej bryły.

Nie może odpłynąć na wschód, nie może się na zachód odczołgać.

Dalekie niebo przybrało kolor pomarańczy, dojrzewającej w ogrodach wschodu.

Jak owoc dojrzewający nasycy się blaskiem słońca, które zmierza w te strony.

W głębinie jasnej nocy spoczywa w blasku miesięcznym nieruchomy bór sosnowy.

A bór utkany jest z koron tak bujnych, jakby żywiące go pnie nie z bezdennych wyrastały piasków, lecz z tłustego iltu Nałęczowa.

Ani jedna gałązka, ani jedna witka, ani jedna igła nie porusza się, nie wzdryga, nie powiewa.

Zamilkł teraz czujny kogut, tak tęskniący za słońcem wśród ptasiego rodu, jak słonecznik i heliotrop wśród roślin.

Gołąb nakrył żółtą źrenicę błoną powieki i przytulił śniade łono do łona gołębiczy.

Łagodnie i niepostrzeżenie wygina się południowy brzeg półwyspu, przybierając w oddali kształt głowy i dziobu gołębia.

Od tego dzioba ziemi biegnie w bławe morze szlak ledwie dostrzegalny dla oka.

Tam w dali widnokrąg zagłębia się we mgłę fioletową, a linia granatowa zaznacza, iż to morze bierze rozbrat z firmamentem i wydziela się w mocarstwo swoje od powietrza bez granic.

Jasny pas piasku, pełen bladeżółtych odcieni, jak wgięta płaza miecza wielkiego, ściela się na dalekiej przestrzeni.

Na tem otwartem nadmorzu zabiegliwa fala zcicha tej nocy pracowała.

Przynosiła niestrudzenie i raz koło razu półkolistymi nareczkami kładąc w przeguby i wiązania, wśród rytmów niezmiennych, miotała webło, czyli kidzënë, czyli morską trawę, którą z głębokich zatargów, z mulistych głębin wyniosła i na ten strąd wydzieliła.

Wielobarwna trawa nikle widnieje na bładem pobrzeżu, jakoby szlak kolorowy na delikatnem ciałeczku morskiej chelbi, czyli barwistej meduzy.

*

Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w łądy i w morza.

Poczuły nieznaną nam rozkosz róże w ogrodzie i wydały w spazmach rozkwitu pachnące westchnienie.

Rozrywa się lepka cieśnia ich płatków, gdy po długich deszczach spadła na nie w ten czerwcowy poranek płomienna sfera upału.

Niewidzialny kos, pustelnik, ukryty w zielonych gałęziach sosny, pochyłej od wiatrów zachodu, która dlań puszcza jest macierzystą i ojczyzną, wita słońce uwielbiającym poświstem.

Karmazynowy, kwiat begonii dźwiga kielich swój spod piasku, którym go chłószczące wiatry i nawalne deszcze przybiły.

Wysuwa się z za cienia sosny, istny żebrak z mrocznej kruchty kościoła, stukający swemi kulami, w pośpiechu na łeb na szyję, żeby zobaczyć lśniące koła karety, w której cesarz Indyi w majestacie swym szybko przejeżdża.

Wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo uwielbienia ten powrót słońca.

Wieczny jest i niezmienny, zawsze tensam, a nigdy ani o jedną jotę, ani o jedną kreskę nie mniej oślniewający i budzący zdumienie, niż przed nieskończonym czasu oceanem.

Sieje oto obłoki pyłu i zapładnia dziewicze słupki żyta na urodzajnej kępie Oxywia.

Pogania ławice wiosenne śledzi ku wodom napoły słodkim, zasilanym przez Wisłę.

Wyciska lepkie soki z szyszek młodocianych sosny.

Otwiera wysmukłe pąki nadmorskich goździków i wydostaje z nich strzępiaste płateczki, najdelikatniejszymi kreskami różu nikle zabarwione.

Zbudził ze snu żółtego motyla i kazał mu w obłędzie szczęśliwym polatać nad szafirami falami morskich przestworów.

*

Gruba chmura, która całunem ogarnęła moją duszę i całunem zasłoniła moje oczy, odwinęła się tego rana.

Dźwignąłem głowę spod całunu i podniosłem oczy na tę stronę ubogą.

Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zasy piaskiste, bladą porośnięte wydmuszycą.

Roześmięć się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza bywała od słonecznych promieni.

Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma, — spomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy.

Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany.

Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniznie, szacie pełnej powabu.

Zgorzałe od słonecznego pożaru, przejrzone przez słońce nawylot, zabarwiły się na rdzawo, na rudo, na płowo.

Białe, wymokłe ciało miejskie jest tu obmierzłe dla oczu, budzące wstręt, jako ślina.

Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza.

Klatki piersiowe mężczyzn, ich karki, żebra, uda, łędźwie, ręce i nogi pali niestrzymane słońce, jakoby tysiąc lamp kwarcowych.

Kobiety mają tu nie tylko sadło, pokryte białą skórą i bezwładne kształty, godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości, pełne mocy.

Nawet obmierzli, ułomni i szpetni, nabierają tu wdzięku i kształtu.

Starzec siedemdziesięcioletni, wyszedłszy z błękitnej kąpieli, ćwiczy gimnastycznie swe ciało, wyrzuca to ręce, to nogi, zgina wiekowy kręgosłup, czaszką spaloną na czarno polyskuje wokoło, zwyciężając niezwalczoną siwiznę.

Dzieci ciemne, lub rude od słońca i wiatru z południa, jak anioły igrają w blasku, odrąconym przez falistą powierzchnię.

W bryzgach piany biegając bez przerwy, noszą istną aureolę świetlistą dookoła sprężystych swych ciałek.

Morze wiekuiście ruchliwe podnieca energię ich skoków, prześcigów, poruszeń i tańców, — wiatr wschodni popędza je z miejsca na miejsce, — a światło, migające na falach śmiech nieskończonej radości w nich budzi.

Bawią się z olbrzymim potworem, który szpik ich kości mocą życia nasycza, a ze krwi nasiona zarazy, ziarna śmierci wypędza.

Chwytają go za gardziel drobnymi rączkami, a krople złota i srebra sypią się na wsze strony z ich maleńkich paluszków.

Daleko, daleko w morze, aż ku ławicom podwodnym, na których zachłysta się fala, pływaczka wysunęła się młoda.

Prawe i lewe jej ramię naprzemiany świetlistą wodę roztrąca, a głowa o urodzie wspañialej raz wraz melodyjnie, to w tę, to w tę stronę, jak w tańcu się chyli.

Na podsypiskach, tam, gdzie słońce najognistszym przypieka pożarem, leżą twarzą do blasku ostrego nieruchome kadłuby nasycających się światłem.

Tam, gdzie już ludzi niema, łańcuch zachyleń, ostoi i bugajów wgryza się w podsypiska, a szczodra, od piany czubata fala wodna nieskończenie, wskok się narzuca.

Palce nóg nie wgłębiają się i nie mogą odcisnąć na tem ciemnym boisku, a pięta nie więźgnie w wychłostanej i stwardniałej płaskoci.

Na nieskalanym, przymorskim chodniku piszą wciąż fale smugi dymne i sade.

Pomilionkroć muskają i gładzą, a dopasowują w formę doskonałej płaszczyzny piasek, już dawno zmielony na mąkę.

Nad głębią strony, czyli nad tą smugą przybrzeżną, skąd podplusk na strąd wbiega, ciemna lśni barwa.

Za nią ciągną się zielenice, smugi płyczn, pod którymi tkwi rewa i zalegają piaski zdradliwe.

Tam, z wielkich idąc oddaleń, z ciemnych bezkońców, wały morza spotykają przeszkołę, wrą tedy, zloszczą się, pienią.

Gdzieniedzie na mojej drodze wiązka rudego webła uderza w spojrzenie, kudłata, śliska, ośliniona i osypana bąblami.

Wydarło ją bujne morze mocą swoją i władzą, ostoję i przytułek igrających dorszów i storni, czy wydarła przemocą denna matnia kręcichy, rybackiego niewodu.

Ani jeden kamyczek nie wynosi się z toni.

Gdzieniedzie ułamek zczerniałego drzewa, korek, lub szczątek węgla z człowieka kędyś ogniska czerni się zdala w blasku pobrzeża, jak resztkę wstrętnego brudu.

Morze otrząsem wewnętrznej odrzy i womitem zewnętrznym wyrzuciło go z siebie.

Ostra wełna nieustannym zakosem podbija stare piaszczyste pokłady, podrzyna niematerialnym swym cyrklem wypukłe półwyspy i wklęsłe zatoki.

Tu i tam odsłania barwne ostrze, niklemi zdobione kolory, ubite dawno, uklepane warstwie.

Niestrudzony, jednostajny poszum morski przesącza się wpoprzek ciszy.

Lecz oto zniweczył go i roztrącił szelest pluszczący i świszczący.

Wysmukły, nagi młodzieniec, o budowie efeba, wszystek brązowy, z twarzą, w której tylko białka oczu błyskają, jednostajnymi skokami plażę przebiega.

Kark jego jest prosty, łopatki w tył podane, kędzierzawa głowa zadarta, ręce pod pachami złożone i dłonie zaciśnięte.

Pierzchliwie pryska spod jego bystrych a rozrosłych stóp morskie rozpostarcie na strądach.

Zda się, iż pierzaste skrzydła migają z prawej i z lewej strony u każdej miedzianej jego stopy.

Zda się, iż to skrzydłopięty Hermes z Olimpii, ocknął się i przebiega wybrzeżem północnego morza.

Ciemna postać w oczach oddala się, mętnieje, mgłą się zawściąga.

Daleko w błękicie znika.

*

Na przymorskim chodniku, który stanowi wschodnie brzuśce przyrostów półwyspu wciąż linia złotofalista wynika i przygasa.

Niema tam już ludzi.

Nareszcie — niema nikogo.

Bieli się tylko w dalekim błękicie stado mew wiecujących.

Złożone są ich płowe, smużką białą ośnieżone skrzydła i białe głowy widnieją zdala na fali.

Z siodlatej barwy zwierchniego płaszcza swych piór podobne do morza w czas burzliwy, — barwą głowy i spodnic naśladowują piany, pędzące na czubach bałwanów.

Spłoszone widokiem przychodnia, pierzchają, wnet jednak zlatują białemi pierściami we wzdęte podrzuty żywiołu i, jak łodzie człowiecze, ponosić się każą.

Jedna tylko, odbita od stada, wciąż krąży.

W moją stronę nawraca.

Unosi się wyżej i niżej, jak jastrząb kołuje, leci w prawo i w lewo.

Jak strzała wprost na mnie przypada z wyraźnym zamiarem napaści.

Widzę tuż nad swą głową rozpostarte jejskrzydła, dziób rozwarto, słyszę krzyk chrapiwy i dziki.

Gdybym kij swój podźwignął, znalazł kamień, uderzył z całej mocy ramienia, zabiłbym napastnicę.

Dostrzegła, czy przeczula niewiadomą mi władzę ten zasób mej potęgi, ten impuls mojej woli, bo krzyk jej stał się ostry, złowrogi, zaiste wojenny.

Nie inaczej — wyzwała mnie do boju!

— Czegoż odemnie chcesz, skrzydlata? Com ci krzyw, śnieżnopióra? Czy i ty w tej samotni, na granicy wód i piasków tylko prawa wojny za prawa uznajesz?

Krzyk rybitwy nie ustał, nie zniżył się, nie nacichł, lecz się wzniósł i dosięgnął granicy obrzydliwej rozpaczy.

Zrozumiałem treść tych ptasich okrzyków.

Zrozumiałem dokładnie.

Poczytuje mnie, widać, za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda.

Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila nadejście na gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badylów tej strony, ukrecone z kolczastych włókien mikołajka.

Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnym sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda, przytulonego do ziemi.

Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce prowadzącej do proggu.

Mam w gardzieli tensam krzyk, który się spod twego serca wydziela, ptaku popielaty.

Każdy odcień chrapiwy pamiętam na widok przybliżania się i na widok oddalania.

Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i, wpośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedziny, — gdy, — po tysiąc kroć przekłeta! — na mojem nieszczęsnem sercu wszechmocy swojej próbuje.

— Uciszyć się, matko!

Nie ja to jestem kształtem śmierci twojej, lub czyjejkolwiek, kogo aż do śmierci miłujesz.

Ja jestem, jako i ty, jedynie ptak polotny, którego skrzydła burza z prawa i z lewa podbija.

Przez twoją świętą trwogę, przez twój krzyk żalostnej miłości, niechaj bezpieczne będzie twe gniazdo małe!

Wyprowadź cichcem, a nieobaczkiem, przed zbójcami dzieciątka swoje między dwie błękitne otchłanie, wyższą i niższą, między niebo i morze.

Niechaj szczęśliwie, według swojej natury, w rozkoszy bytowania wygną sustawy i pióra swych skrzydeł.

Niech najpotężniejszemu wichrowi sprzeciw postawią i, jako żagle, zagrodzą drogę, żeby dzięki lekkiej przeponie ich kostek, ściągien i piór sam musiał je naszać aż pod lecące obłoki, wywyższać, podnosić wzgórze, w promieniach słońca wiecznego.

*

Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce stacza się oto z nieboskłonu.

W szkarłat niestrzymany dla oka nabrzmiałej kuli przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu — i w wodach puckich, kędyś naprost królewskiego Rzucewa tonie w rozplamionym Małego Morza obszarze.

Gdy na wybrzeżu, w gwarnym Sopocie, w pięknym Orłowie, w Gdyni, rozgłośniej od łoskotu prac, rozciąga się już przedmrok błękitu, gdyż słońce zaszło tam już za lasy uroczego wzgórz łańcucha, — na podsypiskach i dunach Helu wciąż jeszcze trwa świetlisty dzień, aż do ostatniej chwili pogrążenia się w falach górnego krańca płomiennej słońca korony.

Do tej ostatniej chwili skaczą w jego promieniach dzieci radosne na białych pochylniach i w pianach tego wygrzanych.

Oczy wszystkich śmiertelnych z pożegnalnym westchnieniem i z wewnętrznym szepcieniem uwielbienia zwracają się w tej chwili ku odchodzącemu rozdawcy żywota.

W każdym oku objawia się trójkąt piękności, wiecznie istniejący i zawsze ruchomy, przenośny z miejsca na miejsce, stworzony przez linie nieskończenie długie między źrenicą, między słońcem ubywającym i linią jego odbicia w morza drgającej powierzchni.

Na drgającej morza powierzchni wynika kresa ruchoma, której widok zależny jest od każdego kroku człowieka w prawo lub w lewo, istniejąca rzekomo na rozległych wodach, a nieistniejąca naprawdę.

Dokądkolwiek pójdzie i skądkolwiek spojrzy, — gdyby nawet obszedł Wielkie i Małe morze wokół, ściele się przed nim o zachodniej godzinie na wsze strony, ażeby mu pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który na morzu przygasa.

Jakże wieloraka, jak nienaśladowana dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest zlotolita i srebrnolita, rubinowa i dyamentowa wstęga na morzu!

Dla każdego oka jest własna, dla każdego oka gdzieindziej, jest wszędzie, w istocie nigdzie jej niema.

Igrające ryby skaczą w niej, zataczając dookoła siebie kręgi i syjąc iskry złote, są to bowiem w tej chwili ryby złote, których nigdy nie było i nigdzie niema, okrom wielkiego mocarstwa cudownych baśni piastunek i okrom nieobeszłego mocarstwa poezji.

Trójkątne skrzydła płóciennych żagłów, — klin na przedzie, wielki grot w środku, topzągiel w górze, — przesuwały się poprzez pręgę zlotolitą, nabierając złota, srebra i drogich blasków w bryty swoje, i w zaświat czarodziejski, do mocarstwa baśni dzieciństwa, do stolicy Cudogrodu z tych wód odpływają.

Gardzina młody, bohater nieulekły ze świetlistym oszczepem w dłoni stoi przy drzewie masztu i śle oczom starym zdaleka patrzącym pożegnania na zawsze, na zawsze — niepojęty znak dobranocny.

Zagasa słońce w wód topieli.

Noc nadciąga.

Przepych szkarłatnej, cienkiej pawłoki ściąga ze siebie lśniące morze.

Zagasa szkarłat, szafran, kolor nasturcyi, zieleń, błękit, niebieskość i fiolet.

Zdmuchnięty został i zagaszony złoty szlak drogi słonecznej.

Smutek i przestrasz, nie dający się ująć w wyraźne słowa, ani nazwać po imieniu przejmuje tajemnym sposobem kości i uciska serce człowieka.

Niepokój potrąca nerwy, gdy zagasa złota światłość słoneczna, a trójkąt niewiadomy, samoświecący wyjęty jest ze źrenicy.

To noc, siedlisko rozkoszy snu i okrąg straszliwy bezsenności, — gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie, — daje znak o swem panowaniu.

Noc, — dziedzina rozpasania się ciała i rozpętania się mąk duszy, umocowanej i skrepowanej za dnia przez pamięć, którą słońce żywi i hoduje.

Noc, — otchłań samopoduszczeń się rozpusty i jaskinia bezładnych marzeń o wyjściu poza obręby rozumu, o wyłamaniu zagród, otaczających naturę ludzką, o potędze władzy, przewyższającej moc bogów.

Noc nastaje na ziemi, gdzie panował jasny syn słońca, zdrowy bożyc wcielony w ducha ludzkiego, wszystkowiedzący i wszechwładny rozum.

*

Nad borem znieruchomiałym i w głębokim pograżonym milczeniu, nad łagodnym zachyleniem się drzew, które tworzy ostatnie zakończenie półwyspu, — zakręt ukojenia, — łśni pełnia księżycowa.

Za tem półkolem uciszenia łagodne morze w blasku miesięcznym igra srebrnym falowaniem.

Sen głęboki zstąpił na ziemię i na morzu panuje.

Zacichły ptaki w boru, mocno trzymając się swych łóżysk snu zakrzywionemi szponami.

Zapewnie śpią nawet ryby, ocierające się wielobarwnemi łuskami i najeżonemi skrzelami o bujne, dziwaczne i fantastyczne krzewy wodorostów.

Nawet igranie morza z blaskiem księżycy nierzeczywiste jest i uroku pełne, jak sen.

O, śnie!

O, niepojęta siła odradzania nas do życia rzeczywistego i przeistaczania w inną naturę!

Nasycasz ciało nowemi siłami, a w tymsamym czasie nosisz nas o setki i tysiące mil od miejsca, gdzie powłoka nasza spoczywa.

Nosisz nas po przestworach i głębiach, czyniąc z nas istoty inne, niż jesteśmy na ziemi, — lekkie, zwinne i lotne.

O, śnie, tajemnicza potęgo!

Z żebraka i bezdomnego włóczęgi, zażywającego twardego wywczasu w przydrożnym rowie, czynisz króla o sercu radosnem, o myśli wspaniałej, o oku szczęśliwem na widok wiecznie nowego ogrojca radości, gdy słońce powstaje.

Z króla państw, monarchii, księstw, ziem i przestworów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, czynisz nędzarza najostatniejszego między ludźmi, z którego oczu potoki łez nadaremnie płyną, skoro zasnąć nie mógł w ciągu nocy nieskończonej.

O, śnie!

O, świecie radosnych krain i przygód nie do wiary!

Wracamy oto znowu z wypraw, z przechadzek, gdzieśmy widzieli doliny szczęścia cichego, anielskie oblicza i boskie wejrzenia, — albo straszliwe piekielne urwiska.

Wracamy na miejsca swoje w rzedzie dwunogów i czworonogów, w oborze żarłoczości i trawienia, na metę walki o jadlo, legowisko i rozkosz miłosną.

A byliśmy przed chwilą podobni wiatrom i blaskom, podobni bogom i bogobojni, dalecy od siebie samych, — albo byliśmy straszliwsi i obmierzlejsi dla siebie samych, ohydniejsi i bardziej przekłęci od szatanów.

Podobnie, jak w morzu wzdyma się wodny garb, podobnie, jak wyciąga się z oceanu ku księżycowi dziób chciwy, ażeby się do niego zbliżyć, — taksamo z istoty człowieka wiecznie ku księżycowi po nocy cości wznosi się i wyrwa.

Istnieją w nas tajemne i niepojęte siły snu zarazem i czuwania, somnambuliczne stany pokonywania w blasku miesięcznym przeszkód nie do pokonania napozór dla przyrody człowieczej, błędzenia po szczytach spadzistości, po gzemsach budowli i wstępowania z łatwością po pionowości ścian.

Istnieje w nas siła marzeń na skutek blasku księżycy, wyrrywająca się z naszej zdrowej natury, pragnienie dotarcia do innej strony, zatajonej i niewiadomej, skrytej w nas, czającej się poza chuciami mężobójcy, zdrajcy i szpiega.

Porwani przez siłę marzeń obcujemy ze świętym Franciszkiem, ze świętym Alexym i ze świętym Wojciechem.

Istnieje w nas siła zachwyty, który księżyc świecący nieci, ciągnie z nicości nazewnątrz, podnosi i wydobywa.

Dzięki temu zachwyтови wzdychamy i płaczemy za świętem naszym dzieciństwem, odczuwając niepojętą za czemś żalobę.

Dzięki temu zachwyтови, odczuwamy niepomierną, bez powodu radość, iż nie jesteśmy zwierzętami i roślinami, lecz że duch w nas wolny przebywa, duch anioła, wtrąconego do cielesnego więzienia.

*

Czarna kula, wywieszona w skwarny dzień letni na poprzecznicę maszty semaforu obok morskiej latarni, postrach budzi na morzu.

Jaskrawa, czerwona latarnia, umieszczona w tejże kuli, gdy ciemna noc zapadnie nad ładami śpiącymi, podwaja i potraja grozę ciszy.

Czujna latarnia zdaje się oświetlać po nocy czyhające, zdyszane, zdradzieckie burzy oblicze.

O pewnej godzinie nocy daje się słyszeć huk daleki.

Świszczące wiatry dopadają półwyspu i ze wszech stron obskakują węgly domów.

Wśród spłoszonego szumu gałęzi nisko zginają szorstkie czuby krzywych sosen.

Czarny las szarpie się w mroku.

Deszcz chłoszcze starą karpiówkę dachów zzieleniałych.

Podmuchy zbiegane w bezkońcach morza, napotkawszy okienka domostw, przyczepionych do piasku, nagle w nie tłuką, i biją we drzwi, na głucho zatarasowane.

Ciemna jutrznia odsłania morze w pianach, skaczące w furii na duny, od dżdżu szare.

Daleki, zbrudzony horyzont zasłany jest jakgdyby wzburzoną kurniawą śniegu.

Dzikie bałwany nie tylko się rozbijają, lecz zaprawdę roztrzaskują o brzegi.

Zielone ich zawoje zwisają nad półcylicylnymi wnętrzami, przez nagły ruch polerowanemi, jak stał, a migotliwemi, jak ogień.

Wiatr zdziera z nich pianę strzelistą i miota ją na brzegi dalekie, lub na morze szalone.

Tłoczą się jedne na drugie pian istne zaspy, miazga wzburzona i szumiąca po pękniętych denegach.

Długie drogi wlokącej się śliny od grzbietu do grzbietu wodnego znaczą podstępne i obłudne szlaki i ścieżki żeglarza.

Zdala pędzą, niby wzgórze ruchome ściśle zaspy ku łądom.

Na mieliznach podbrzeżnych, wpół się łamią, przepękają w swej mocy i niweczą w swej sile.

W śmiechu pienistym wgardliwego żywiołu huśtają się belki ciosane, tramy, ostro kończone paliszczka, pniaków korzenistych kadłuby, gałęzie z kory obdarte, wyrwane skądś deski i rozszarpane gdzieś szczątki człowieczego klecenia.

Świszczący wiatr śmiga stronami i smaga wysoczyzny półwyspu.

*

Między Rożewiem a Sambią zalega ten ład dziwny, mierzeja ponad stumetrowymi głębiami.

Skądże się tu wziął w czystych toniach, jak tu powstał, — ni to przylądek, ni wyspa, po miljon kroć przez wściekły żywioł zdobywany i postokroć szarpiany na sztuki?

Tam, gdzie dziś cichy sosnowy bór szumi, istniał pono, — jak głoszą klechdy uczonych, — jakowyś ład, w jakowemś morzu pradawnem.

Studnia w tem miejscu, sto z górą metrów w głębokość ziemi idąca, przecina piasku tylko dwa metry, dalej do dziewięćdziesięciu ośmiu metrów przewierca formacje diluvium, a do stu sześciu metrów formacje kredowe.

Woda bijąca z wywierconego otworu strzela w górę na dwa metry ponad poziomy powierzchni.

Kędyś tedy na łądzie dalekim, w jakimś wyżynem jeziorze ta woda ma źródło siły swego wytrysku.

Mówią klechdy uczonych, iż ów osuch pierwotny począł w czasie narastać i grubieć, zanim grobla północna poczęła się, jako rewa podwodna.

Grobla północna, — dzisiejsze piaski i niziny Wielkiej Wsi i Kuźnicy i obok nich kotlinowe głębie podmorskie, — były ujściem przedwiecznej rzeki olbrzymia.

Szeroką paszczą swoją, czy szeregiem strumieni w piaskach rytym, Wisła tutaj uchodziła do morza.

W prawięku, gdy lodowiec wspierał się o południowe Bałtyku wybrzeża, Wisła płynęła na zachód szlakami Noteci, ażeby w jedną rzekę splatać się z Łabą.

W dzisiejszej jej delcie pod Gdańskiem stały jakoweś wody zakiste, olbrzymie zasiąkla, jeziora i błota, z których wody uchodziły na zachód, poza kępą Oxywia, torfowiskiem Gdyni i Redy.

Gdy zaś lodowiec zupełnie, aż do Skandynawii ustąpił, Wisła przebiła się ku północy.

Wciągnąwszy w siebie i zagarnąwszy ze sobą zasoby olbrzymiego gdańskiego rozdołu, z jezior, z błot, ze strumieni ciekących, od strony Laskowic, od Prabutów, od Dzierzgoni, spłynęła ku północy.

Szeroką drogą swoją pogarnęła się ku dawnemu rozdołowi między dunami i kępami, gdzie dziś rozpostarte leżą torfowiska Chylonii, Cisowa i Rumii.

Poprzez terażniejsze Bruckie Żuławy, między Osłaninem i Rewą wlewała się w łożysko, leżące dziś na dnie morza, gdzie torfy, przysypane piachami spoczywają w głębinie trzydziestometrowej.

Kędyś między Wielką Wsią i Kuźnicą szła między szory głębokie, słowińskie.

Nieliczone jej potoki, żłobiące drogi swoje skroś gór i rozłogów olbrzymiego kraiszcza, wynosiły w ciągu długich stuleci, podczas pełnowodnych wylewów i czasu wiosennych roztopów muły i piaski, kamienie przymarzniete do płynącej kry lodów, olbrzymie pnie drzewne o trzymetrowej średnicy, które do dziś dnia leżą w piaskach międzymorza, nie na jego ubogiej wychowane glebie, lecz przyniesione z bezbrzeżnej polskiej dziedziny.

Dwa wielkie skrzydła tego przedwiecznego Wisły łożyska nieznane są, albowiem w morzu nazawsze zginęły.

Jedno od Gdańska do Gdyni, drugie od Rewy do wielkiej Wsi i Kuźnicy.

Obadwa pochłonęło morze, które wiekuiście wyniosłe kępy ujada, a przyległe do nich niskie łądy na dno swoje potrąca.

Widnieje tylko szlak ziemski między Gdynią i Rewą.

I dziś jeszcze Wielkie morze czatuje, ażeby się wdrzeć na błota karwińskie, torfy ich piaskami zasypać, a z wyżyny Rożewia uczynić międzymorze, któreby kształtem swoim głowę bawołu tworzyło, z dwoma, — helskim i karwińskim, — rogami.

Z pracy Wisły przedwiecznej, której długości i wielkości niepodobna ogarnąć myślami, powstały olbrzymie złogi mułów, piasków i kamieni, które morze zwycięskie, wdarłszy się w te obszary, mełło i wyrzucało za siebie.

Przez wieki tworzyło wał, — zrazu podwodzia, — płytką rewę, szereg mielizn i haków, — potem groblę nadwodną, stałą cienką mierzeję, nieraz rozszarpaną w stu miejscach, która kępę dawną Helu z kępą Swarzewa złączyła.

Jak teraz przed zdumionymi oczyma wędrowca odkrywają się tajemnicze doliny, rozdoły w lasach pochowane, biegnące ku zakisłemu i w posępną wilgoć otulonemu łożysku, urocze samotnie Starego Kacka, Witomina, Chwarzna, Chyłońskich Pustek i Łężyc, — prawdziwie z tatrzańskich regli tutaj przyniesione i w nadmorskim osadzone nadbrzeżu przez bożyszczcze złudzenia, — taksamo wielką rzekę przeszłości wyraźnie ukazuje nam w tych miejscach pamięć wyobraźni.

Ukazuje nam ją zachwyt nasz, — Prawisłę, — lechickiej ziemi pracownicę olbrzymią.

Puszcze niezbrodzone, pierwobory dla siebie samych rosnące nad jej brzegami błękitnieją w oddali, zielenieją w pobliżu.

Śnią nad jej urwiskami samotne święte dęby i samotne święte lipy, wszczepione olbrzymiemi korzeniami w żwiru i gliny, przez tajemnicze siły lodowców uzgarniane, w szczyty i zbocza gór Radłowa, Oxywia, Białorzeki i Dębogórza.

Jak za dni naszych mewy białoczelne nad jej szerokim wodnym przestworem rytmem rwanym, w sposób niewysłowienie uroczy miotają skrzydła długie i wydają krzyk swój bojowy, — ongi taksamo.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawždy zagony łososi idą w przedwiośnia zgodnemi i wiecznie nowemi pochody w górę jej popławów z morza szumnego aż do podnóża gór tatrzańskich, skąd jej zimne, przezyste źródła biją.

*

Jak za dni naszych, skoro na Małym Morzu i przy brzegach wysokich lody stopnieją, a południowy wiatr gorącym tchem powieje, taksamo ongi, hufce łososi ciągnęły z lodowato-zimnych okręgów polarnego oceanu ku słodkowodnym bławej zatoki toniom.

Jak za dni naszych, taksamo wtedy, pędziła je w górę tajna potęga miłosnej roskoszy z modrych mórz w blade Wisły rozlewisko.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawždy zastępy ich szły uszykowane według odwiecznego porządku.

Ciągnęła i ciągnie zawsze na przedzie największa srebrnołuska i bezplamista samica o wielkich uzębionych szczękach i kościach paszczy najeżonych ostremi kielcami.

Za przodownicą płynęły i płyną jedna za drugą w odstępach, jakgdyby na cztery stopy człowiecze wymierzonych samice mniejszego wymiaru i młodsze.

Za samicami płynęły i płyną samce w odstępach, jakby na cztery stopy człowiecze odmierzonych.

Za samcami płynęły i płyną młode w szyku porządnym, przypominającym co do kształtu klucz dzikich gęsi, gdy lecą z północy w południe.

Skoro piękna panowała pogoda, płynęły wierzchem wiślanego wartu z szumem, który ludzi ucho, jakgdyby nadejścia burzy.

Skoro nad krajem przelatowały wichry, pochód grona łososi zapadał na dno i w ciemnicy wodnej ciągnął w górę po trzy mile na godzinę.

Wówczas w łożysku starej Wisły, nie przerażał ich tak jeszcze wysmukły napastnik i zdrajca.

Z czasem nauczyły się czujności, bojaźni i lęku wobec jego złowieszczej postaci, — wszystkich kształtów i kolorów, które z nim są związane, — barw białych, czerwonych, jaskrawych, — oraz ostrożności wobec wszelkich nieznanymi hałasów i dźwięków.

Skoro przebiegły napastnik począł stawiać jazy u brzegów, a w warcie rzeki drygawice, w których niejedyn ród wędrówny wyginał, przodownica nauczyła się poznawać wrogie sidła i złowieszcze zasadzki.

Napotkawszy je w swojej drodze, rzucała się wskok, niemal w lot i mknęła, jak błyskawica.

Za nią tymże szlakiem niewidnym, niemal lotem, szył wszystek szyk, szybujący nad przeszkodą.

Jeżeli zaś zasadzka nie była do przebycia lub przerwania, przodownica w kłęb zwijała swe ciało i przeskakiwała pułapki.

Zginała się, jak sprężyna, przybliżając widłową płetwę ogona aż do wystającej szczęki swej paszczy, nagle rozprężała zwinięte koło swego długiego kadłuba, z całą potęgą uderzała bokiem o wodę i, odbiwszy się od jej powierzchni na pięć i sześć stóp w górę, przeskakiwała zaporę.

Za jej rozkazującym przykładem czyniły to samo wszystkie osobniki zagonu, aby za chwilę ustawić się znowu w dawny agmen i z ogniem niesłabnącym gnać w swoją stronę.

Skoro zasie dosięgły wód bystrych, zimnych a nieskalanych, przelewających się ponad dnem żwirowatym Białego i Czarnego Dunajca, przodownica w towarzystwie kilku samców obierała miejsce na tarło.

Zwróciwszy się głową w stronę polotu wód bystrych, tarła się brzuchem o chropawe dno rzeki, ażeby ze siebie ikrę wycisnąć, która się w małym zagłębieniu dennem gromadzi.

O to miejsce, o prawo i możność polania ikry swym mleczem, samce wiodą między sobą bitwy zawzięte.

Młode łososi składają wcześniej swą ikrę, to też wcześniej wyhodowuje się ich brzucho potomstwo.

Wcześniej wykarmiają się młode rody, własnem żółtkiem pasąc i kształtując organy, serce i nerwy.

Młode, wysmukłe łososi z głową śpiczastą i grzbietem pręgowanym brunatno, w listopadzie wracają do morza.

Stare trą się znacznie później i do morza wracają aż w grudniu.

Będąc ze swojej natury istotami słodkowodnymi, ci wieczni wiślni oryle, zapędzeni na słony ocean, po którym góry lodowe żeglują, a niezmierny wieloryb gejzery ze siebie wyrzuca, — wracają niezmiennie do dawnej ojczyzny ich rodu.

A w drodze swej ku wyżynom skalistym, nie pożywiają się niczem, lecz łakną, schną i niszczeją.

Stają się, jako strzały, które w upodobaniu niepojętem lecą do miejsca zarania swojego gatunku.

Znana im jest jakaś postać furji miłosnej, szału z tęsknoty do świętego źródła, które wypiaśtowało ich rodzaj w swej przezroczyściej głębinie.

W głodzie i szaleństwie poprzez wieki zamierzchłe i czasy idące drgają w Wiśle rzece, te żywotwórcze struny.

Po tych zboczach, pagórkach, polanach i piaskach, przyniesionych przez wody płynące, przebiegała szybka stopa człowieka, od znużenia bezsilna.

Mogła jego tu i tam leży na wzgórzu.

Rozlegał się nad szeroką wodą płynącą i budził łoskot echa w puszczy nad morzem jego krzyk wydany w pościgu i w głodzie.

Łuk nagięty jego dłonią bolesną miotał upierzone strzały w piękne białe piersi morskiej mewy.

Zabijał czajki, rybitwy, nury, burzyki, kormorany, kuligi i perkozy, — strącał z niebios dzikie gęsi, kaczki i piękne kielpie, wolne łabędzie, gdy w południowe krainy z krain północy leciały.

Kamienny młot człowieka uderzał w furyi we włochatą pierś zwierzęcą.

Jakże brzmiało imię miłosne, którem przyzywał z oddali towarzyszkę?

Jak brzmiało słowo pieśczoły, wycmokane w stronę kolebki z wikliny?

Jakie nazwy nosiły przedmioty i suma ich, widok tej ziemi, — prawa i złudy, których istnienia nauczyło go uczucie głodu i uczucie honoru?

Siła jego i zastępujące siłę oszustwo przewaliło się poprzez siłę niedźwiedzia i tura, wilka i łosia.

O, potomne mewy, o, bezpamiętne ptaki, które z wyżyny swojej tyle widzicie!

Czy takiesame, jak my, żywiąc uczucie bolesnej a niewytrzebionej miłości swego potomstwa i gatunku, macie i inne nasze uczucia, przesady i przywary?

Pamiętacie każda z osobna, jako ród, jako zbiorowisko, aż do najdrobniejszego szczegółu, aż do najłżejszego porozumienia, co czynił praojciec i pramatka przed niezliczonymi wiekami.

Macie jakoweś niezłomne prawa, rządzące państwem skrzydlatem.

Lecz czy macie jakiegokolwiek wspomnienia?

Tyle widziałyście, siedząc na swem dziedzictwie przez wieki, na rewie między Kuźnicą i Rewą, odkąd się z wód wyhynęła! Może podajecie w swej mowie, w swym zbiorowym rozgwarze, w zgiełkliwym swem obmowisku, w wynurzeniach krzykliwych i nahałnych jakoweś swoje klechdy i dzieje.

Może porozumiewacie się swoim sposobem, tak jak ludzie swoim, o chytrych sposobach szubrawstwa, o sztukach czyhających morderców, o nienasyconem łaknieniu i nienasyconem pragnieniu wśród wiekuiście tychsamych odgłosów morza, ślisko i chrapliwie bijącego o nagie te brzegi.

Może wydajecie jedynie głosy bezmyślne, jak drwał rozszczępiający zrosty pniaka, które się nie poddają rozłączeniu, jak rataj młócaący grubą ściółkę snopów na klepisku, która z kłosów nie chce ziarna wydawać.

A może widzicie coś więcej, niż my ludzie.

Może widzicie nietylko piaski wybrzeża i morze ochryple na piaskach szumiące, zatoki i przylądki barwiste, podobne z oddali do głów gołębich i do ciał meduz barwiście kraszonych?

Może wiecie coś niewiadomego nikomu o cieniach, które czas pożarł i wchłonał, a przeszłość zagrzebała w sobie.

Może widzicie jeszcze ciała, które tu przechodziły, wydając krzyk walki i pracy, może pamiętacie ziemianki, osiedla, chałupy z chrustu i miasta, miasta tak zatopione, iż ich nie widać poprzez najczystsza wodę, i tak zagrzebane, iż z nich został nad wądołami gruzu tylko badył wysmukłego ostu o kwiecie blade różowym, róża dzika i kępa szarej mietlicy, która się za wiatrem pochyla?

Nie odpowiecie nam nigdy, gdyż niezrozumiała jest wasza mowa, spiskująca wieczyście przeciwko podstępowi zabójców.

Mowa wasza skazana jest przedewszystkiem na wyrażanie spraw głodu, miłości, ucieczki i napaści.

To my, wędrowcy ziemi, którzy już nie zabijamy, którzy potępiamy śmierć wszelką, którzy uwielbiamy wieczne życie w jego prawdzie i w jego złudzie, skazani jesteśmy za wszystkie twory ziemi na pamiętanie o wszystkim.

Lecz ptaki niebios i ziemi bardziej, głębiej, szczerzej i piękniej od nas uwielbiają piękność i wolność istnienia.

Wzniesmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatęchłych domów i stańmy się, w uwielbieniu wolności i piękności istnienia do wolnych i pięknych ptaków podobni!

Uwielbiamy pospołu z nimi piękność wiekuistą, minioną i dzisiaj żywą.

Uwielbiamy pochody słońca nad łądami, które są i nad rzekami, których już niema, — wschody i zachody, wznioślejsze w swem czarodziejstwie ponad śpiew ptasi i ponad słowo człowieka, — nawroty wieczne, a nigdy nie ulegające odmianie.

Uwielbiamy zawsze nanowo niespodziewane, a wieczyście nawracające się o swej godzinie wędrówki księżycy w nocnych niebiosach, według odwiecznych, niezłomnych, świętych zakonów, wśród olśnionych przezeń obłoków, których połyski i cień zachwycają po wszystkie czasy duszę człowieka.

Wzniesmy się w radości naszej ponad utwierdzenie, w przestwór elementów i nad niezmierzone bezgranicza morza.

*

Mierzeja prastarej Wisły, a później, gdy morze ujście jej zatopiło i w sobie pochłonęło, — międzymorze, — wąska grobla między wyspą Helu i kępą Swarzewa, przybrała w ciągu czasów kształt miecza o potężnej rękojeści, strzelistej, wąskiej i niezmiernie długiej klingi nasadzie, która ku swemu końcowi rozszerza się i rozrasta na podobieństwo „małodobrego” miecza katowskiego.

To podobieństwo zwiększa jeszcze wycięcie południowe zatoki między przylądkiem Starego Helu i ostatecznym cyplem półwyspu.

Brzuśce miecza zwrócone jest w pełne morze.

Brzuśce to, które można nazwać ostrzem, gdyż narastając bez przerwy, wciąż się niejako naostrza snadziznami napoły widocznymi, szeregiem niskich płycizn, nad którymi zielenice szumią.

Brzuśce to jest gołe, nagie, śnieżnie białe od piasków najsubtelniejszych, stalowo-niebieskawe od fali wiecznie żywej, na płask po tem ostrzu chodzącej, stalowo-zielonkawe od łąnów wydmuszycy, jasno-zielone od porostów sosnowych, od karłowatej puszczy, zarastającej zasy-doliny.

Trzy równoległe rewy zalegają wzdłuż ostrza od strony Morza Słowińców.

Pierwsza, — osuch, — na czterdzieści kroków od brzegu a na dwie stopy pod wodą, — druga na sto pięćdziesiąt kroków od brzegu, w głębokości siedmiu stóp pod powierzchnią, — trzecia o sto pięćdziesiąt kroków dalej za tamtą, w głębokości dwudziestu stóp pod wodą.

Zachodnia i południowa połąć lądu, ziemia stara, — *insula Helae*, — ma kolor głębokiej zieleności, gdyż ją od niepamiętnych lat porasta bór na wielkiej przestrzeni, wydłużający się na kilkadziesiąt kilometrów.

Środek, północne i wschodnie połacie, zadrzewione są młodą sośniną, sadzoną dawniej w kwadratach osłony.

W młodym swoim wieku i rozroście ten przyszły las przypomina do złudzenia trzańską kosodrzewinę.

Kosówka Helu, tam i sam w pień już przechodząc, przybiera kształt przedziwnie wykrętny, fantastyczny, pochyły, rozwidlony.

Na piasku, przysypanym warstwą igieł, które wiatr po śliskich i okrągłych powierzchniach rozmiata, pokazuje się pierwszy porost, futro mchu szedziwego.

Rozsiadłe zwartemi kępami te istne liszaje ziemi przybierają barwę piasku zmoczonego od deszczu.

Ta odzież ziemi bezpłodnej, niemal pozbawiona korzeni, oddziela się odeń bez trudu, odpada za najlżejszym potrąceniem.

Sosenki pienne, których krzywe, boczne gałęzie, uschły już i opadły, obwieszane są również mchami suchymi, mnóstwem zeschniętych chrapeców i niestrąconych jeszcze igieł.

Wszystek ten zasób wyschnięty wichry wnet zedrą i po kożuchu mchów poroznoszą, ażeby z czasem utworzyć nową próchniejącą warstwicę.

Zatrzyma się w niej kropla wilgoci i wystrzeli trawka najpierwsza.

W zagłębieniach i dolkach wyhynie rdzawa mietliczka, wybiją się złote główki ostromleca, skabioza polna o kolorze morza w dzień wietrzny.

Na grubych pokładach igieł zapachnie wonny miodownik i dziewica rzadko spotykana, pani tych stron — koniczyna.

W mokrych jamach, w głębiach zakisłych, gdzie woda długo się trzyma wystrzela szorstkie sitowie.

Postać zasp piasku, które ten cały kraj utworzyły, odzwierciadła w sobie niestałość, zmienność i dowolność morskiej fali, która je ze siebie wyrzuciła.

Jedne z tych wyżyn ciągną się nad brzegami wschodnimi, tworząc łańcuch niestały fal piasku, tak dużych, jak Bocianiec, albo Szwedzkie Góry, — inne tworzą dowolne kwadraty i trójkąty rozdołów, otoczonych nieregularnymi kopcami.

Strome duny piaszczyste wyskakują znienacka w środku najszerszego rozłogu, gdzie już sosny olbrzymie stoją u ich podnóża.

Te wzgórza zbyt wysmukłe, o zboczach zbyt stromych, do których roślinność przyczepić się nie może, skoro mchy pierwotne osunąć się muszą, a suche igły zmiecione zostały, — zsypują się i spychają w sąsiednie rozdoły i płyną przed siebie suchą rzeką piaszczystą.

Często wędrująca rzeka piasku zasypuje wielkie drzewo sosnowe na wysokość dwu i trzech metrów od podstawy.

Sosna zasypana nie umiera, lecz szuka korzeniami nowej warstwy żywotnej, która się na nowej powierzchni wytwarza.

Zapuszcza w nową dunę swe wzniesione korzenie.

Lecz nowa nadchodzi ławica i znowu przywała suchym piaskiem jej żywe, zielone gałęzie.

Skoro pozostawiony dla stóp ludzkich szlak w lesie igły smolne przysypią, wnet staje się on posłusznie twardym i równym chodnikiem.

Z prawej i lewej strony przybiegają do tego wolnego przesmyka wrzosy tak gęste i zarosłe, iż stanowią niezbrodzone zagaja.

Nigdy pilny ogrodnik nie zdoła tak wycyrklować swej ścieżki w kwietniku, jak to czynią nadobne wrzosy na Helu, oraz pokrewne im wrzosowice, rodzące tylko tutaj swoje czarne jagody.

Ścieżka otulona kępami, kłębiącymi się nad nią, równa wszędy i wszędy jednaką, biegnie w dal, w coraz inne, coraz odmienne pustkowie.

Przemierza kilkadziesiąt kilometrów błogosławionej samotni, którą tylko czasami złotolita sarna zakłóci, a sikorka sosnowka nieśmiałym świstem przesyje.

*

Dokądkolwiek poniosą mię nogi od nadbrzeżnych zasp piasku, wszędzie zastępują mi drogę kopulaste wydmy szare.

Przewidujący umysł niemiecki i pracowite ręce niemieckie zalesiły je, sadząc małe drzewka sosnowe.

Ażeby wiatr nie zdmuchnął bezsilnych sadzonek pospołu z lotną i sypką samej wydmy powierzchnią, przewidujące ręce ogrodziły każde półko kwadratem kołków gęsto bitych.

Tam i sam widać jeszcze próchno kwadratów ogrodzenia.

Gdzieindziej samo próchno wiatr po okolicy rozrzucił.

Na miejscu małych sadzonek las się puścił wspaniały.

Wilgoć podspodnia, którą piaski przechowują w sobie i trzymają długo, niczem gąbka, żywi zielen igieł i szyszek, hoduje olchy i brzozy, karmi buki i lipy.

Ogromne pnie i strzeliste konary starych sosen, pochylę w stronę wschodu, koloru miedzi czy złota starego, koloru ciał ludzkich, spalonych nad morzem od wichru i słońca, przeryniają olbrzymie rozlewisko zieleni.

Tu i tam z morza jednolitej zieleni wydzielają się kudłate i rozwiane brzozy czuby.

Stary, nienapatrzony helski lesie!

W letni, cichy poranek i w pogodne letnie odwieczerze, jakże jesteś przychylny dla znużonego wędrowca!

Zapach żywiczny wylewa się z twojej głębi, a niezliczone twe korony chronią wnętrze od wichru.

Najsroższy orkan, — ost, czy west, siewierz, czy zyda, — bijący w wybrzeża i roznoszący huk morski po całym tym kraju, do twojej głębi nie dotrze.

Zarośnięte trawą i zasypane igłami drogi twoje prowadzą w ostoje coraz bardziej zaciszne, w spokojność zupełną i w samo sedno pustkowia.

Wciąż nowa rozsuwa się przed oczyma ziemia morska, garbata od dun i kopców piaszczystych, przestrzeń zaświatowa, melancholii pełne siedlisko milczenia.

*

Z potężnego pnia sosny, skoro tylko wy dostał się z zasy piaszczystej na zachodnim przyładku wyrastają tuż przyziemne konary.

Wystrzelają równoległe do ziemi, albo z góry w pałąk wygięte kierują się ku niej.

Ścielą się grubemi ramionami o kolorze miodu żółtego po miałe zszarzałym i do zimnej powierzchni się tulą.

Odbiegłszy zaś kilka kroków od śniata, wszczepiają się w zwiewną górę, nakrywają omszonymi piaskami, znikając w nich do znaku.

Dopiero dalej, zagnała wystrzelają spod ziemi koroną niezliczonych, bujnie zielonych gałęzi.

Z tych podziemnych konarów wyrasta płatanina krzywych gnatów, istnych postronków, żółtych lin i koślawych zawitek.

Zachodząc pod się i opasując jedna drugą, przeplatając się wukos skutecznymi podchwytami, zadzierzgając nierozzerwalne pętlice i supłając grube węzły, planowy ów zespół gałęzi opiera się zachodniemu wichrowi.

Srogi i nigdy niewyczerpany w swojej sile wiatr zachodni zdiera mchy szare i zielone, odmiata złogi igieł, odgarnia i przepędza warstwy piasku i obnaża niezmiernie daleko rozpostarte czarne węzowisko potężnych korzeni.

Korzenie ocapiają kopiec wydmy w poszukiwaniu wciąż nowej, wilgotnej warstwy.

Srogi i nigdy niewyczerpany w swojej sile wiatr zachodni pochyła na wschód pnie wszystkie i w tamtą stronę każe się zginać gałęziom.

W tamtą stronę zwracają się zielone korony, osypane szyszek młodocianych niezliczoną ilością.

Za wałem piaszczystym, który morze wygarnęło ze siebie i usypało na brzegu w niezbadanych swych zamysłach, czają się pnie koślawe, garbate, skręcone.

Przysiadłszy, niczem ludzie strudzeni, ubodzy, ściżgani przez prawo okrutne, straszliwe i wieczne, za ścianą przychylną, żyją cichcem, ukradkiem, pokornie.

Rosną wszczepić i napoprzek, gną się w głąb, leżą w piasku, unikając wychylenia się koron ponad grzebień zasłony.

Rozpościerają się po ziemi w pałąk skulone i suną w dal pokryjomu.

Wypuszczają długie liny gałęzi, niepomiernie rozległe ścielą wici obwieszzone zielenią przyziemną i czubatemi szyszkami.

Zielone kępy igieł, szarpane od wiatru rozmiatają pod sobą piasek duni i żłobią wygładzone łożysko.

W miarę igieł rozrostu i w miarę przybywania ciężaru same zapadają w ów dołek, wygrzebany samochcą.

Zanurzają się w grobie-kołysce, którą same pod przymusem żłobiły.

Wicher pomaga w tem dziele.

Zsypuje do tego schroniska stare igły uschnięte, pożywne, gdzieindziej zdarte z wierchołków, tulające się po gładkich pochyleniach szyszki suche, walczki gałęzi spróchniałych, mchy wędrownie, wiórki kory.

W zakamarku gromadzi się pożywienie, omasta i wilgoć, z których wystrzela pierwsza kępka trawki kostropatej o kolorze zdziebełek, podobnym do piasku i o kolorze wiechy, podobnym do morza siwizny.

Nowy przybysz do nadmorskiej krainy kołysze się i pochyla ku wschodowi, jakby był wizerunkiem i wskaźnikiem drogi wichru, dmącego z zachodu.

*

Za piaszczystymi wydmami, gnane przez wicher zachodni, wre, w prysk się samorzuca i huczy Małego Morza bujowisko.

Od brzegów napoły widnych przybiegając, które w dalekich pianach się kurzą, a giną kędyś w stalowej zarazem i rudej ruchawie, gnają w kierunku helskiego utwierdzenia ciemnozielone przewały, białymi gęsiami piany gęsto nasadzone.

Trafiając na mielizny podwodzia i na spychy suche zwara bałwanów wzmaga się w swej sile, rośnie w bryły strzeliste i zwija się w kłęby podsięwodne.

Z hukiem pękają rolingi, uderzając o wzniesienia wiszarów.

Strzępate ich piany zlatują z grzbietów kipieli na wyslizgane ławic obnażenia.

Syczącem rozsnuwaniem śliskich zalotów i postrzępionych wybiegów nasycają podsypiska.

Piaski wybrzeża, przepojone już pianą, przyjmują falę za falą i nieskończenie każdą odtrącają.

Najdrobniejszy piasku kamyczek, najmniej widoczne ziarenko, najmniej dostrzegalny pyłek znajduje swoje łożysko, układa się w jamce swojej i na wieki w niej pozostaje.

Grzmiące upadki zielonego podplusku raz wraz ubijają powierzchnię, aż się stanie nieskazitelną pochylnią, zaokrągloną u góry, twardą w sobie i bez ohyby wygładzoną.

*

Z łona wód wydana została ta wąska i strzelista ziemia.

Morze rzuciło ją naga, białą od rozległych wzgórz i niw piasku, nieodzianą ani jednym liściem, nieoslonioną ani jednym cieniem na hodowanie słońcu, wiatrom i deszczom.

Lecz morze pamiętało i pamięta o podrzutku, wciąż go tajemnie podsycy i wspiera, niczem dziecko rosnące.

Żywołem swym przejrzystym a niezmiennie wzburzonym okrywało niegdyś najwyższe jego wzniesienia.

W jego nieustającym pracowisku otłuczone zostały, ogładzone w kształt kulisty i podługowaty, wyslizgane w tysięcznych podrzutach głazy opok, przyniesione z okolic dalekich.

W ciągu niezmiernej długości dni i nocy złomy granitów tatrzańskich, kwarców, piaskowców i zlepieńców meły się pośród biegów i nawrotów nawałnicy na okruchy, na żwir i na piasek.

Od pogranicza do pogranicza epok trwają prace, rozszarpujące obszary Rożewia, Swarzewa, Oxywia, Kamieńca, Radłowa, Orłowa.

Niszczącą góry-doliny, których już śladu niema, przyczółki wyniosłe spiętrzone ponad czterdziestometrowymi Bałtyku głębiami.

Gdzie wystają złomy wielkie z radłowskiej mielizny, gdzie wełny się pienia nad oxywskim zburzyszczem i gdzie się ciągnie mała głębia karwińska, usiana potężnymi głazami, ongi śmiały się w słońcu wyniosłe czoła ziemi, z których jeno zostały nazwy głuche, z normandzkiego napastnika mowy wyjęte, by o formie ich świadczyć.

Morze z nich inne utworzyło postaci, — płaskie, rozciągnięte u podnóża wydmuchów, śnieżyste białe, nasycone słońcem i solą, — mielizny na ostrzu północnem i wschodniem, a spychy na południowej i zachodniej plaży miecza helskiego.

Dla pełnienia tej pracy morze przeznaczyło dwie siły wyłączne, dwa morskie prądy, dwie rzeki w morzu, pracujące dla Helu.

Jeden z tych gońców, zdążający z zachodu ku wschodowi, wprawiany jest do biegu przez wiatry z zachodu, które niemal połowę dni roku wypełniają swym czynem.

Od przylądka Rożewia pędzi w odległości jednego kilometra wzdłuż helskiego wybrzeża, żłobiąc głębokie w dnie łożysko, które się za zielenicami przybrzeżnymi, nagłym uskokiem dna podwodnego i czarną barwą powierzchni zaznacza.

Przy ostatnim przyładku południowym całości międzymorza, przy dziobie gołębia, szor zachodni znika w zatoce.

Przebiwszy się przez nią, przemknąwszy wskrós jej głębin, zjawia się przy wiślanej mierzei.

Wzdłuż tej mierzei posuwa się aż do Sambii i tam się na wschód wykręca.

Prąd zachodni przynosi na północne i wschodnie mielizny półwyspu piaski doskonale zmielone, gładko otoczone żwiry i okruchy żywota morskiego.

W głębi swojej niesie sól do łądu helskiego.

Przy wietrze z północno-zachodu wnosi do Gdańskiej Zatoki szybkie swoje wody prąd inny, prąd wschodni.

Od łądów sambijskich, zdąza on wzdłuż mierzei wiślanej i łączy się z postrachem ryb słonomorskich, z białą wodą wiślaną, wypadającą z paszczy Leniwki.

Prąd ten przemierza obszary Sopotu, Radłowa, Gdyni, Oxywia, wykręca się przed Pucką zatoką i mknie wzdłuż Czajczej Rewy, która między Kuźnicą i Rewą Małe Morze przecina.

Prąd wschodni, przynoszący do Gdańskiej Zatoki olbrzymie masy namulów i piasków, tnie w wysokie brzegi między Sopotem i Oxywiem, a pod tymsamym kątem odbity, składa przeważną część swych darów powyżej Kuźnicy, na wysokim helskiem wybrzeżu.

Potem mknie wzdłuż międzymorza, zostawiając na jego południowych wybrzeżach grube złoża napoły zmielonych kamieni, muły znacznie od zachodnich tłusciejsze, piaski nie tak sypkie i większą, niż z pełnego morza, wodorostów obfitość.

Ta masa wodna, nieraz podnosząca poziom Wiku o jeden metr ponad równię puckiej zatoki, spotyka się przy dziobie gołębia z silnym prądem zachodnim.

Obadwa mocują się tutaj na siłę i z dwu stron wyrzucają swe żwiry i piaski.

Powstaje w miejscu ich spotkania nikły, najostatniejszy podwodny przyładek, ławica ruchoma, która się to w tę, to w tę stronę zawija, niczem czapki frygijskiej górne zakończenie.

Wewnątrz tej to zawitki tworzy się maleńka zatoka, w której wir nieustanny świdruje głębinę.

Tuż za zmienną i kapryśną czapki frygijskiej zawitką czatuje czarna, na pięćdziesiąt metrów uskokiem spadająca głębina.

Obiedwie morskie rzeki, zachodnia i wschodnia, pędzące w nieustannym pościgu wzdłuż obudwu brzegów Helu, usiłują powiększyć niezmiernie jego rozmiar i sześćdziesięciometrową głębinę gdańskiego jeziora do szczętu zasypać.

*

Przed wiekami żeglarz na morzu zbłąkany, spoglądający wciąż w niebo, ażeby szukać wskazówek, zwiastujących koniec burzy, nadejście pogody i znaki kierunku tej strony, w którą mu dążyć wypadło, spostrzegł, iż istnieje współzależność przypływu i odpływu oceanu od ruchów wielkich światel niebieskich, — od księżycy i słońca.

Rybak, trudzący się w swej łodzi około rzeźby wybrzeża, widział, iż powrót każdego następnego przypływu odpowiada niezmiennie przejściu księżycy przez tęsamą linię na niebie, naznaczoną myślami i oczyma.

Patrząc na przemiany pięknej nocnej pochodni, — zjawienie się na nowiu, jaśnienie w kwadrze, przepych pełni i dogasanie w odejściu, — obadwaj spostrzegli, że i przypływ zmienia się regularnie, zyskuje na sile, staje się bujnym i zuchwałym, ażeby później stopniowo się uspokajać, z dnia na dzień skracać i cofać swe wypady, w miarę zbliżania się granicy księżycowego miesiąca.

Wędrowcy, w pustkowiach oceanu zbłąkani, dostrzegli, iż wiosenne i jesienne porównanie dnia z nocą, — okresy syzygiów, — były zawsze sprzężone z potężnymi wylewami przypływów.

Skandynawskie bożyszczce sił powietrznych, — Thor wszechpotężny, — rogiem swym, który zanurza w głębokości oceanu, podnosi żywioł, a boskim tchem zniża go znowu na przemiany.

Potęźniejsi w mądrości swej od bogów — Kepler i Descartes, Newton i Laplace wyświecili, w jaki to sposób przyciąganie słońca i księżyca wywiera wpływ na ruchliwe morza powierzchni.

Mówi legenda ich, iż w przestworach oceanu pędzą dwie fale, wydzwignięte przez księżyc i słońce.

Dwa wielkie bałwany, zrazu samoistne, a wnet w tęsamą jedność i masę złączone, nie rozstają się ze sobą w biegu dookoła globu, ze wschodu dążąc na zachód, czyli wbrew ruchowi ziemskiego koliska.

Nów księżyca, w tym samym do nas tkwiący kierunku co słońce, dźwiga z oceanu dwie fale i tworzy przyływ wód żywych, czyli syzygiów, czyli złośliwy, czyli zzieleniały.

Wielkie wyżyny stromych skał doznają napaści wód, a dalekie płaskie okolice stają się dnem oceanu.

Podczas pełni, gdy tarcza nocnej Seleny, całkowicie oświetlona, znajdzie się względem słońca na zupełnie przeciwnym biegunie, powstaje również przyływ syzygialny, skoro działanie dwu niebieskich ciał z dwu stron globu sprawuje jego podźwignienie.

Znając drogę ziemi w przestworach, badacze niebios i badacze ziemi mogą, jak bogowie, przewidzieć przyszłe wahania się fal, mogą wyrysować drogę ich, krzywą dla przyszłych wieków, które kiedyś nadpłyną.

Lecz wichry, zawsze niestałe, i zmieniająca się nierówność dna w głębi morza, płacze ich boski rachunek.

Skądże się bierze prąd zachodni, rzeka stała w wielkim morzu bałtyckim, szor, przebiegający wzdłuż helskiego wybrzeża?

Czy tylko wiatry zachodnie wpływają na jego powstanie?

Wszak bełta masy wód słodkich, przez wielkie rzeki z lądu wyniesione, i nasycy solą oceanów odległych to niegdyś słodkowode jezioro.

Może w wielkim basenie wód południa, którego oceany rozliczne są jeno gałęziami, mieści się kołyska tego ruchu.

Może to aż tam ku słońcu i ku tarczy księżyca wyciąga się garb wodny, który później niestrzymanie pomyka, żeby się o brzegi Ameryki, wygrzane w upałach objąć, dzwonić w zimne kolosy skandynawskie i podnosić obrus wodny w fiordach?

Na wybrzeżach francuskich i wysp Wielkiej Brytanii przyływ nadbiega z południowego śródmorza, a w swym ruchu wzdłuż brzegów wstrzymuje się nieodmiennie według pierwotnych poruszeń, jakie sobie wytworzył wpośród osierdzia oceanów przez przyciąganie księżyca i słońca.

Na morzu Północnem, w pobliżu Pas de Calais istnieją okręgi równowagi żywej i martwej wody, jakgdyby czopy nieruchome, na których zawisają ruchome wrótnie przyływów.

Tu wody wahają się wśród wybrzeży Holandyi i Anglii, zależne od prądów atmosfery, biegów morskich i ruchu ciał niebieskich.

Tam to schodzą się dwa przypyływy, — jeden dążący z Atlantyku, drugi przybywający z Morza Północy, a w miejscu ich spotkania wzniesienie się wody jednego metra nie przekracza.

Wahania się przypyłów i odpływów złączone są ze zmiennymi prądami, które zachowują się taksamo, jak przypyływy i odpływ.

Zjawisko to widać najlepiej u ujścia rzek lądowych o wielkiej masie słodkiej wody.

Prądy, które się wytwarzają w cieśninach z racy różnicy poziomów nabierają siły olbrzymiej przez swoje zmiany porywcze, przez zakręty i wiry.

Są to najniebezpieczniejsi szybkobiegacze oceanu.

Istnieją straszliwe wąwozy, gdzie woda żywa i odpływ odwrotny, wciśnięte między szeregi pniów podwodnych, pędzą ze straszną szybkością.

Same ich nazwy, — jak nazwa „Kłęski”, — wskazują na dzieje męstwa człowieka, szukającego swej potęgi na tych drogach stracenia.

Na zachodnim Szkocyi wybrzeżu istnieje przesmyk morski Great-Gulf, w którym szybkość prądu przewyższa najbystrzejsze górskie potoki, lecące z wyżyn w przepaście w wodospadach, rzutach, i skokach.

Różnica poziomów obrusów wodnych, wskutek starcia się prądów i przypyłów, wytwarza zakręty i leje, w których wirowanie połyka ludzkie okręty.

Czy przez Sund, Kattogat, Skagerrak nie dąży zdala jakiś strumień odbity tych wirów?
Istnieje tam próg podwodny płycizn, piachów i skał, lesz¹ nurt słonoński w głębi sześćdziesięciu metrów idzie tamtędy z oceanów.

Dąży w nim ku wschodowi dorsz, skarłała pomuchła, żyjąca na wielkiej głębi w poszukiwaniu soli swej wielkiej morskiej ojczyzny, i warczy kur, istna nietota wielkich oceanów, zwyrodniała dyabeł morski.

Zdala idzie podspodnia rzeka, niosąc oprócz mułów i piasków bezcenny dar ciężkiej soli.

Idzie dnem, wodną ciemnicą, powiększając swą szybkość w miarę wielkiej głębi i zwalniając ją na snadziznach.

*

Rzeko w morzu, która zasób soli, z gorzkich i słonych okręgów oceanu przynosisz na pogranicze wód niemal rzecznych płytkiej puckiej laguny, gdzie pluskają się słodkowode ryby, — bądź pozdrowiona!

Czekają cię na piaskach helskiego wybrzeża stęsknione stopki dzieci, — chłopców i dziewczynek, — nadzieja plemienia, któremu zbójcka napaść sąsiadów przez tyle lat wydzierała nie tylko wolność, lecz zdrowie.

Chlustaj, o potężna, ostremi pianami w te małe golenie i piersi!

Wytracaj siedliska zarazy, a czystym wichrem, który nosisz, jako żywioł tworzący, napychaj tlenu w płuca wąskie i małe!

Gdybyż to mieć ręce na pół Polski długie!

Gdybyż to mieć siłę Wyrwidęba i wydzierać z jej lasów conajzdrowsze drzewa!

Gdyby pobudować tysiąc baraków wzdłuż piasecznic Helu, na gołym ostrzu jej miecza!

Gdybyż to wysypywać rok rocznie tysiąc tysięcy dzieci, skarłałych w miast zaułkach, w proletaryackich piwnicach, znad ścieków i kanałów, gdzie się ciałka nieskalane zakażają zarazami i zbrodniami lotrów starych!

Lecz nie mam rąk na pół Polski długich i nie mam siły Wyrwidęba.

Niema w Polsce siekiery, któraby w takim celu jej dostała drzewa ścinała.

Płyną polskie puszcze za to morze dalekie.

Muszę patrzeć, jak pycha bogaczów, spryt kanalii i dorobkiewiczów egoizm, wszystko w Polsce zamieniając na kawał, po staremu wzdłuż i wszerez rozbija się i hula.

Rzeko morska!

Nasza sprawa, — twojej pracy wieczystej, twojej siły niewyczerpanej przenigdy i mojego utęsknienia za sprawą mej duszy — wciąż czeka i czeka...

*

Gdy po nocy wietrznej i dżdżystej nastanie cichy i pogodny poranek, a fale nie skaczą już z szumem na płaskie wybrzeża, zostają w białych piaskach zalewiska błękitne, smugi wody zapomnianej, każda oddzielona od bujnego wciąż morza wygladzoną mierzeją.

Nad temi jeziorkami słonemi siedzą rzędem nieruchome małe mewy, szare, niedawno opierzone figurki, ni to kuleczki posrebrzane i lśniące.

Przed nimi, po drugiej stronie smugi przewodniczą młodocianemu społeczeństwu ojcowie, czy też matki tego świata, skoro, według nazwy osobnika, winienby tam panować ustrój matryarchalny.

Za zbliżeniem się człowieka stare mewy z krzykiem wielkim zrywają się do lotu i, rozbiegłszy się na wsze strony, znikają w błękitnych rozłogach.

Młode, jeszcze, widać nie wdrożone w dzieło napaści i zabójstwa, rządzące żywotem istot ziemi, nie wiele sobie robią ze złowieszczej postaci.

Lecz daleki krzyk rodzicielski daje rozkaz i wskazówkę ucieczki.

Zrywają się tedy, jak jedna, uczennice posłuszne praw, rządzących wszechstworzeniem.

¹lecz. [przypis redakcyjny]

Pierzchają w jasne powietrze, krążą, migając nieskalaną białością cudnych skrzydeł i piersi, a uciekają na wsze strony.

Tak niegdyś na pierwotnym nagim piasku półwyspu czuwał nad losem potomstwa drugi z kolei gromadzki zbiór osadników.

Nie pociągało go na te morskie wysypiska i wiatrów wydmuchy nic innego, tylko nadzieja rabunku.

Bezplodne i bezdrzewne, w zimie omarznęte od lodów, na wiosnę i w jesieni mgłami grubymi osnute, postokroć przewiane od nawałnicy² z zachodu, nie pociągało niczem innym.

Zbójca morski był tu osadnikiem najpierwszym.

Nad głębią, wyoraną przez prądy zachodnie, przesuwają się obok pierwotnej mielizny okręty wyniosłe, dążące z ziemi Prusów i Rusów do ziemi Wągów i Pomorzan.

Pod wydętymi żaglami mocne jodłowe korabie niosły z Rany, ze Szczecina i Kamina tysiąc tysięcy przedmiotów i skarbów, które zapępiały sen głodnego i nagiego barbarzyńcy.

Odosobniona od świata, niedostępna i naga wyspa na morzu stanowiła ponętę przez swą zupełną pustynność, ażeby z niej uczynić schronisko, czatownię i miejsce wypadu.

Przebywszy wpływ cieśniny, na wybrzeżu zachylonem od wiatru, ubogi przychodzić, wygnaniec, odszczepieniec ludzkiej gminy, czynił sobie noclegowisko i domostwo z trzciny, chrustu i łupu, który morze wypłuka.

Na wzór sosny dzisiejszej, która dla swych schłostanych gałęzi w piasku szuka schronienia przed zachodnimi podmuchy, zdrętwiały od zimna wędrowiec wygrzebywał w zwiewnej dunie ziemiankę.

Ta ziemia, którą morze ze siebie wyгнаło, a wiatr z miejsca na miejsce przepędzał, nie mogła swemi mchami pożywić łądu wyrzutka, więc się musiał jąć pracy.

Czatował z długą w ręku sulicą na morświnie, na delfiny, o pysku wydłużonym i spłaszczonym w podobiznę dzioba kaczego, gdy przez prądy zachodnie przygnane, wesoło się pluskały w błękitnych falach nadbrzeża, a nadobnymi ruchami wyrzucały się z wody.

Gdy zimą smagał wyspę wiatr północny, a gruba pawęż lodu brzegi kryła, gdy kra spiętrzona, utworzywszy zwały lśniące, osadzała je na piasku, podchodził szare, płetwonogie, bezuche morskie cielęta, foki o krótkich kielcach, skoro do swej dawnej bezpiecznej przystani docierały, żeby się na słońcu wylegiwać.

Zabijał je niespodzianym pociskiem swojej straszliwej procy kamiennej.

Opijał się wówczas ich tłuszczem, okrywał swą nagość ich piękną, lśniącą skórą i pożerał ich mięso uprażone na ogniu.

W dobie letniej nie mogły zaspokoić jego głodu ryby, które w falach ledwie — słonych na Małym Morzu widywał, gdy się na dnie i u brzegów przewijały.

Najprzedziwniejsze, rozkosznie piękne ich kształty, przeróżne postaci, wznoszenie się samochcąc i tajemnicze opadanie, krążenie w toni, skoki nagłe, rzuty i nieruchome w miejscu trwanie na podobieństwo kani w niebie, — ich poloty, wykręty, krygi i tańce były dlań niedosiężne, wskutek braku odpowiedniego narzędzia napaści.

Żyły tedy i barwiły się przed jego chciwymi oczyma w Małym Morzu — ostrożny i płochliwy okuń, tłusty karp, jazgarz, sandacz, ukleja, dążąca w maju ku brzegom, miętus śliski i nie dający się dłonią ująć, karaś, pływająca płoć, minog rzeczny, leszcz, lin, piskorz, sum, zbój wodny szczupak i piękna brzoza, czyli sieja.

Po drugiej stronie wyspy przyplływały w wielkich falach majowych śledzie, w marcu i na jesieni szły ku brzegom łososi, a w zimie sielawki.

Tuliły do przeczystego dna swą brodawkowatą powierzchnię czworakię rodzaje płastugów — bańtki, czyli małe flądery, stornie, czyli znaczne flądry, limandy i turboty z oczyma osadzonemi z lewej strony płaskiego ich ciała.

Pławiły się w tych wodach morskie zające i śpiczastonose, tarczami kościanemi pokryte, ciemnoblękitne, drapieżne i łakome jesiotry, które wiosenną porą, pospołu z łosiosiami, niosły się pochodami ku Wiśle.

²nawałnicy. [przypis redakcyjny]

CzuJNI strażnik wybrzeża niemało zużył trudu dla przerwania ruchu wdzięcznego, dla skrócenia żywota, dla pożarcia miążgi tych wody mieszkańców, na ogniu spalonej.

Czatował na wielkie węgorze, albo nieruchome szczupaki, leżąc długo piersiami na tafli lodowej, ażeby nieomylnem uderzeniem zaostrojonej osęki, bodorem celnym je przebić.

Wywabiał je po nocy z dna, z kryjówek, oszukując i prowadząc ku brzegom zapomocą blasku pochodni i płonącego łuczywa.

Ciągnęły zwiedzione w głupocie swej świętej i wchodziły w więcierze wikłowe, w chytre żaki.

Splatał bowiem pierwotną sieć z wikłów, osadzał ją na stroiszu, czyli trzonku, lub podstępnie zastawiał.

Wypalał węgla zarzewiem w pniaku sosnowym, zwałonym przez wichry, rdzeń drzewny i czynił zeń podobiznę pławaczki.

Puszczał się w owej łodzi pierwotnej na wody spokojne, krótką paczyną z prawej i lewej strony drzewnego koryta umiejętnie wyrtając.

Lecz niedaleko od brzegu mógł odbić.

Zbadał wszakże caliznę, wychyloną już z wody i zaczajone pod falą wzburzoną osuchy, wypatrzył i wymierzył, gdzie w wierzchołku przyładka haki są najzdradliwsze dla brzucha okrętu, gdzie czatują istne wąwozy zalewisk między łachą a łachą.

Gdy w ciemną noc listopada morze poczęło ze swej głębi i dali wydawać najbardziej ponure łoskoty i ryki, gdy od niestrzymanej potęgi huraganu wyspa drzeń poczęła w posadach, skoki spiętrzonych bałwanów przesadzały wały wysokie, ryły jamy, pruły brzegi i nowe w międzymorzu wybijały wąwozy, a siwy, w swej straszliwości przeraźliwy żywioł morski wokoło suszę obiegał, — człowiek na wyspie rozpałał nad zdradzieckimi pułapkami wielkie ognie, bujne stosy na najwyższych wzniesieniach.

Dawał nibyto ratownicze i zbawcze sygnały braciom ludziom, których wielkie denegi z miejsca na miejsce ponad głębiną ciskały.

Zdarzało się, iż sternik na korabiu, burzą szaloną miotany, zawierzył ludzkiemu poratymcowi na suszy.

Nie wiedział, iż czeka nań u wybrzeża schowanego w ciemności, bardziej złowieszczą zasadzką, niżli burzy szaleństwo w otchłaniach, — iż się gotuje do skoku nienawiści, chciwość i zemsta, sroższa od najzacieklejszego podmuchu.

Gdy statek zwiedziony, a zwabiony do brzegu fałszywemi ogniami, ni to ryba bezmyślna, worał się w piachy, stanął w biegu, albo padał na boku, — pod pozorem ratunku czerni półzwierząt wdzierala się na pokład, od żądzy dysząca.

Z mroku nocy migotały wściekle oczy i maczuga wyslizgana w napaściach, — a do wichrowego poświstu dołączał się świst oszczepu ostrym nabitego krzemieniem.

To też żeglarz wareski i brytyjski nadawał temu miejscu w swojej mowie nazwę *Hell* — czyli Piekło.

*

Oto co głosi stara helska kronika, przechowywana doniedawna w protestanckim kościele na Helu, z której tylko wyciąg pozostał:

Książę Wartysław Pierwszy w roku 1128 założył miasto na Helu w miejscu, gdzie stały nędzne chaty, zamieszkane przez lud dziki.

Na pamiątkę swej małżonki, która nosiła imię Hela, nazwał to miejsce Helą.

Zbudował tu kościół parafialny pod wezwaniem świętego Wojciecha, a miejsce to zasiedlił osadnikami z Pomorza, którzy się rybołówstwem trudnili.

Księżna darowała do tego kościoła kielich srebrny z rytym na nim napisem.

Gdy Wartysław, pierwszy książę chrześcijański, umarł w roku 1136, a brat jego książę Ratiborus władzę księcia osiągnął, zbudował w temże miejscu w roku 1142 kościół, który nazwał świętego Piotra imieniem.

A poświęcił ów kościół biskup imieniem Adalbertus.

Waldemar Drugi, król duński, prowadził wielką wojnę z książętami Pomorza i zagarnął ich miasta, aż do miasta Hela nad morzem.

Tyle wieści stara helska kronika.

Książę Wartysław Pierwszy, idący z rodu Kruka, syna Gryna, króla Ranów, księcia Obodrytów i Lutyków, a z matki Sławiny, córki Swantyborza pomorskiego, jest pierwszym księciem Pomorza, znanym w dziejach.

Aż do jego czasów ziemie te, zdobyte przez Bolesława Chrobrego, podlegały Polsce Piastów.

Pomorze nad Parsantą i Odrą, w czasie zaburzeń po śmierci wielkiego budownika, wyłamało się spod polskiej przewagi.

Wartysław ze Szczecina władał obszerną krainą po obu brzegach Odry, rozciągał swe panowanie nad Wkranami, tudzież nad wyspami Uznoim i Wolin.

Stolicę swoją miał w Szczecinie, odkąd Białogard nad Parsantą, dwakroć przez Bolesława Krzywoustego zdobyty, królowi polskiemu podlegał.

Książę Wartysław, dzieckiem jeszcze ochrzczony, pomagał do zaprowadzenia na Pomorzu chrześcijaństwa.

Jednak w jego stolicy złoty posąg Trygława był narodowym bożyszczem i cześć powszechną odbierał.

Od dzieciństwa Bolesław Krzywousty dobijał się o panowanie nad morzem.

Na czele swojej jazdy w ciągu pięciu dni, pięciu nocy przebiegał wskroś lasów i moczarów bezdrzewnych, żeby Kołobrzeg opanować.

Wtedy, — jak mówi pierwszy polski, a znakomity po wsze czasy, pisarz jego epepei, — całe plemię barbarzyńców północy potężnie się przeraziło, a sława Bolesława najszerzej i najdalej rozbrzmiewała.

Wtedy również w śpiew wojenny przepłynęło przysłowie powszechne, stwierdzenie zapomocą melodyjnego słów brzmienia prawdziwości stanu rzeczy.

A owa *cantilena* wojenna, w przekładzie na łaciński język pisarza, głosiła:

*„Pisces salsos et fetentes apportabant alii,
Palpitantes et recentes nunc apportant filii,
Civitates invadebant patres nostri primitus,
Hi procellas non verantur neque maris sonitus.
Agitabant patres nostri cervos, apros, capreas,
Hi venantur monstra maris et opes aequeoreas.”*

Powtóre Bolesław posiadał Białogard i Kołobrzeg, a rok rocznie powtarzając swe wyprawy, zdobył Szczecin, dotarł aż do Moryckiego jeziora, a wreszcie Wolin opanował.

Książę Wartysław na Szczecinie, który zdradził po wielekroć króla polskiego i walki z nim toczył, musiał wreszcie uznać jego zwierzchnictwo.

Gdy święty Otton bamberski, z Gniezna, od grobu świętego Wojciecha przez Bolesława Krzywoustego wyprawiony w towarzystwie kapelana królewskiego Wojciecha, rzeźbiarza Leoparda i trzeciego kapłana o nieznanem imieniu, wszedł w puszczy i przedzierał się szlakiem, znaczone na drzewach za poprzednich wypraw królewskich, — pod Starogardem spotkał księcia pomorskiego Wartysława, który go ze czcią przyjął na czele swych wojowników.

Przy czynnej pomocy Wartysława, święty Otton dokonał dzieła nawrócenia Pomorzan w grodach Pirycu, Kaminie, Wolinie i Szczecinie.

Cztery przedziwnej budowy szczecińskie kontyny zburzone zostały, a złoty posąg Trygława zwalony.

Rozdzielone zostały między tłuszczę niedawnych czcicieli bożyszcza drogic kamienie świątyni, ozdobne oręże, rogi rzeźbione, złoto i srebro.

Trzy głowy złote posągu odesłano do Rzymu dla papieża Honorjusza Drugiego.

Na miejscu głównej bożnicy stanął pośrodku Szczecina kościół pod wezwaniem świętego Wojciecha.

Drugi kościół pod wezwaniem Piotra świętego zaczęto budować za murami pomorskiej stolicy.

Lud nawrócił się ku chrześcijaństwu, a sam książę Wartysław pod wpływem trzech misjonarzy odprawił swe dwadzieścia cztery żony i przy jednej pozostał, która była chrześcianką, szczególnie biskupowi przychylną.

(Była to może owa Hela, która kielich do kościoła na Helu w darze dała...

Może to „rzeźbiarz Leopard” z naczyń srebrnych kontyny kielich nowy wytopił i napis wokół niego wyrzył...)

Po naradzie króla Bolesława Krzywoustego z księciem Wartysławem i biskupem Ottonem na stolicę biskupią Pomorza powołany został towarzysz wyprawy misyjnej, Polak Wojciech, kapelan królewski, Adalbertus.

Lecz dopiero w roku 1140 nowy biskup zasiadł na swej stolicy w Wolinie.

Gdy zaś książę Wartysław został w Stołpie nad Pieną w roku 1136 przez skrytobójcę zabity, — brat jego książę Ratibor, ożeniony z córką Bolesława Krzywoustego — Przybysławą — objął władzę nad dziedziną.

Jeszcze za żywota Wartysława ten to książę Ratibor, „zebrawszy koło siebie poganów, krążył po wodach Bałtyku, jakoby król morski pośród floty swej, złożonej z pięciuset korabiów.

Na każdym zaś korabiu miał po czterdziestu czterech ludzi i dwa konie”.

Podobno nie bez wiedzy króla polskiego przedsięwziął wyprawę do Kongheli, bogatego miasta szwedzkiego.

W roku 1135 miasto to szturmem zdobył i z ogromnymi łupami do domu powrócił.

Tak o nim głoszą duńskie sagi.

Ci to książęta ze Szczecina, macierzy grodów pomorskich, Wartysław i Ratibor, jak świadczy helska kronika, zbudowali najprzód kaplicę, a później kościół w Starym Helu.

Kaplica nosi imię świętego Wojciecha męczennika, taksamo, jak pierwsza kaplica na rynku w Szczecinie.

Kościół, w roku 1142 przez Ratibora na Helu zbudowany, jest pod świętego Piotra wezwaniem, taksamo, jak pierwszy kościół pod murami miasta Szczecina.

Poświęcił zaś ów kościół biskup, imieniem Adalbertus, czyli Wojciech, kapelan króla Bolesława i uczestnik wyprawy w celu nawrócenia Pomorza.

Kielich darowany przez żonę Wartysława do kościoła na Helu, był doniedawna przechowywany w skarbcu obecnego kościoła, lecz, wywieziony do Gdańska, nie wiadomo gdzie jest teraz.

*

Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew, książę saski, zdeptali już byli ziemie Słowian za Odrą.

Polska rozdrobniona na cztery dzielnice straciła dawną potęgę.

Daremnie opierał się naporowi niemieckiemu Nikłot, książę zaodrzański, z rodu tegoż Kruta, syna Gryna, króla Ranów.

Przez lat trzydzieści nadaremnie walczył ze Lwem i Niedźwiedziem, albo usiłował ich podejść oszustwem, zdradą, udaniem.

Zamki tego bohatera i ostatniego poganina, Iłowo, Weligrad czyli Meklemburg, Zwierzyn, czyli Szweryn, Dąbin i Worle na pograniczu ziemi Chyżanów wydarte mu zostały przez zastępy Lwa i Niedźwiedzia.

Wreszcie sam Nikłot na polu bitwy mężnie poległ.

Lud słowiański musiał uchodzić na wschód, na wschód przed zastępami, okutymi w żelazo, pod których stopą ziemia drżała.

Tak mówi Helmold, kronikarz niemiecki, chwalcą Albrechta Niedźwiedzia: „Bóg hojnie księcia naszego i naszych książąt zwycięstwami obdarzył, — Słowianie wszędzie wytępieni zostali, lub wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadały, pobudowały miasta i kościoły i w bogactwa nad wszelką miarę urosły”.

Synowie Nikłota Przybysław Pierwszy, książę Obodrytów, i Wratysław, książę Chyżanów, musieli również uchodzić dalej a dalej.

Gdy zaś książę Wratysław, ujęty w niewolę, został z rozkazu Henryka Lwa, jak pies powieszony, Przybysław nie miał już siły najeźdźcom się opierać.

W czasie wojny krzyżowej, wszczętej przeciwko Słowianom szczecińskim przez Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa, przez opata korbejskiego Wibalda, który chciał do swego opactwa wyspę Ranę, czyli Rugię przyłączyć, — przez biskupa werdeńskiego

Dytmara i innych dostojników kościoła, — przez królewiczów duńskich Swena i Knu-
ta, — gdy wszystkie te ludy północy w sile niezmierzonej obległy twierdzę Dąbin nad
Zwierzynskim jeziorem, — książę Ratibor szczeciński, brat Wartysława, wspólnie z bi-
skupem Wojciechem bronił się przeciw Niemcom i Danom.

Biskup Woliński Wojciech, jeden z pierwszych apostołów Pomorza, wystawił na wa-
łach obleganego Szczecina krzyż przeciwko krzyżowcom, niosącym jakoby chrześcijań-
stwo w te kraje.

A wyszedłszy do obozu nieprzyjaciół wyrzucił biskupom, ciągnącym z książętami na
wyprawę wojenną, iż zapomocą krwi i grabieży przychodzą niby to nawracać — dawno
nawróconą krainę.

Uchodząc przed naporem niemieckim, Słowianie dosięgali brzegów morza, uchodzili
w puszcze, na błota i piaski bezpłodne, kryli się w dalekich przylądkach i niedosiętych
międzymorzach.

*

Król Danii Waldemar Drugi, „Zwycięzca”, który pokonał zaodrzańskie Pomorze,
zdobył wyspiarskie państwo Ranów, ściał i spalił posąg Swantewita i złamał chorągiew
niepodległości, „stanicę”, zajął Gdańsk, Prusy, Estonię i całe morskie wybrzeże, aż po
fińską zatokę, — nie ominął starego miasta na Helu.

W tysiąc okrętów i sześćdziesiąt siedm tysięcy wojownika zajął Rygę, zburzył Lyn-
danisę i na tem miejscu założył miasto Rewel, przebiegł całe Inflanty i posiadał daleką
wyspę Oesel.

Mieszkańcy miasta na Helu płacili daninę Duńczykom i niezwyyczajonemu ich wo-
dzowi.

Lecz Waldemar Drugi, porwany i uwięziony przez księcia Henryka ze Szwerynu,
zrzekł się swych praw do Pomorza.

Wciąż jednak, aż do śmierci Waldemara Drugiego synowie Wartysława Pierwszego
Kazimierz Pierwszy i Bogusław Pierwszy, ożeniony z Anastazyą, córką Mieszka Starego,
byli wasalami duńskimi.

Po śmierci Waldemara Drugiego markgrafowie Jan i Otto Trzeci otrzymali od cesarza
Fryderyka Drugiego wszelkie prawa nad Pomorzem.

Rybacy, zarzucający swe sieci, wokół starego miasta na Helu zmienili tedy panów.

Komuinnemu mieli składać daninę ze swojej pracy na morzu i ze swej pracy na suszy.

*

Oto co głosi jedna z najstarszych wyspiarskich powieści.

Na początku XIII stulecia Eryk Czwarty, król duński, zwany „Plovpenning”, czyli
„Szelał od pługa”, syn Waldemara Drugiego, prowadził wojny zaciekle.

Studując za lat swych młodzieńczych zagranicą nauki, w italskiej Bononii i w Pary-
żu, — jak głosi kronika, — książę Eryk zaprzyjaźnił się i pobratał z Sinibaldem Fiescho,
synem Hugona, hrabiego Lawonii, genueńskim magnatem, znakomitym wnet praw-
nikiem, noszącym dla wielkiego znawstwa kanonów, miano *pater et organum veritatis*,
który z czasem pod imieniem Inocentego Czwartego zasiadł na tronie papieży.

(Ten to znakomity znawca kanonów, *pater et organum veritatis*, za opłatą daniny na
rzecz Stolicy Apostolskiej, zatwierdził Krzyżaków we władaniu Ziemią Chełmińską i da-
rował im kraje, które na Prusakach zdobędą).

Posiadłszy część władzy królewskiej nad Danią północną, jeszcze za życia Waldemara
Drugiego, Eryk zwany dla podatku nałożonego na rolników „Szelał od pługa”, wysłał
poselstwo do swego ongi przyjaciela, papieża Inocentego Czwartego z prośbą o wszczęcie
dochodzeń przeciwko dwu duńskim biskupom.

Papież Inocenty, uwikłany w srogie walki orężne z cesarzem Fryderykiem, nie lekce-
wał przyjaciel, siedzącego na tronie północy.

Posłał do Danii legata w osobie minorityty, nazwiskiem Sedensa, z darami składającymi
się ze szczątków krzyża świętego i z czaszki świętej Barbary.

W srebrnej szkatule, rytym ozdobionej napisem, mieściła się czaszka męczennicy.

Legat, przybywszy do Danii, zastał tam srogie wojny, toczące się między królem Jutlandyi Erykiem i starszym jego bratem Abelem, panującym w Szlezwigu.

Nadto mór pustoszył tę krainę tak dalece, iż król Eryk na jedną z wysp odległych się schronił.

Legat, wsiadłszy na okręt, podążył za królem Erykiem.

Skoro tylko odbił od brzegu, straszna burza poczęła nosić statek w dzikiem morzu północnem, a wreszcie po dniach wielu wyrzuciła go na wybrzeże jakiejś ziemi, którą — *insula Helae* — nazywa kronika.

Czatujący w tem miejscu rozbójnicy, na mocy swego prawa łupu, obdarli ze wszelkiego mienia rozbiteków, porwali i uwięzili legata, a dary papieża dla króla Eryka zrabowali.

Tak to cudne oblicze wielkiej męczennicy egipskiej, dziewicze czoło świętej panny, Barbary, która śmierć samą z ręki rodzonego ojca przeniosła nad złamanie wiary swego serca świętości, zajaśniało w blasku ogniów, przed oczyma pogan północy.

Głowa samotnicy, nazwanej imieniem Barbara, — czyli obca wśród swoich, wśród najbardziej rodzonych, — głowa zamkniętej w wiecznej wieży nie tylko materialnego więzienia, lecz zamkniętej w wieży zupełnej ducha samotni, upadła znowu pod nogi barbarzyńców.

Za życia obnażona w niewysłowionej piękności swej cielesnej, bita, kaleczona, szarpana żelaznemi szponami, po wyrwaniu piersi, popędzana ku pośmiechu miasta Heliopolis, — teraz znowu rzucona została na łaskę dzikich chłopów i grubych siepaczów.

Któż to wie, — dla tego może, iż zanadto była uczczona przez drogi metal okucia głowy świętej, przez piękne emalie wizerunku i górne słowa pochwalnych napisów, — dla tego może, iż stała się darem potężnego papieża dla króla, — ona, co była samą pokorą i samą jeno nieskazitelną, nagą cnotą...

Lecz jako niegdyś, gdy w trwodze dziewczyńskiej przed gniewem i zemstą własnego ojca uciekała, kamienna góra, z wielkich złożona głazów, rozstała się była i czulej, niż matka rodzona w łono ją swoje przyjęła, a pilny i pamiętny jej losu anioł karmił ją we wnętrzościach ziemi niebieskiem pożywieniem, tako i wówczas się stało.

Bardziej twarde od skał, serca rybaków i piratów międzymorza, w wichrze i burzy wychowane, karmione trwogami zabobonów Tryglawa i srogiemi biczami praw panów dalekich, nieznanych, osunęły się, zdrząły i otwarły.

I jako niegdyś, gdy pod ojcowski miecz mężną głowę skłaniała, piorun śmiercią poraził kamienne ojca serce, tako i teraz piorun strachu przeszył nieulękle serca wyspiarzy.

Patrzyli się w zdumieniu na lica malowane, jakich nigdy jeszcze nie widzieli i na milczenie białej kości czoła.

A potem, czuciem tajemniczem popchnięci, skoczyli w łódź, ustawili szaty żagłów i na spienionych denegach pobieżyli do księcia, do Swantopółka we Gdańsku, trzymając wysoko w rękę a ponad głowami puszkę przeraźliwą.

*

Świętopelk, książę gdański, zrozumiał znaczenie zdobyczy i potrafił ją uczcić.

Zamknął szkatulę z głową świętej Barbary w swoim niezdołym zamczysku, w komorze najtajniejszej Sartawic.

Świętopelk, syn Mszczuja i Zwienisławy, wnuczki Ratibora, (który na Helu kościół świętego Piotra zbudował), po wygaśnięciu rodu Ratiborowiców, opanował ich dziedzinę orężem czy podstępem.

Na wschód od tej dziedziny Ratiborowiców całe gdańskie Pomorze należało do Polski.

Zarządzali niem książęta, spokrewnieni z władcami zachodniego Pomorza, uznający nad sobą zwierzchnictwo Polaków.

Lecz ojciec Świętopelka Mszczuj Pierwszy, dziad Sambor i pradziad Subisław pisali się książętami gdańskimi i rządili samodzielnie nadmorską krainą.

Świętopelk, zagarnąwszy dziedzictwo Ratiborowiców, Słupsk, Sławno, Białogard i całe pobraże, stał się również panem na Helu.

Podzieliwszy się z braćmi, Raciborowi oddał Białogard z całą ziemią, Samborowi Lubieszew, Tczew i Starogard, a sam objął Gdańsk, Puck, Świecie, Nowe, Wyszogród.

Gdy bracia przeciw niemu poczęli spiskować, pobił ich i zajął ich udziały.

Wyłamał się spod władzy Leszka Białego i stał się panem niezależnym, „królem Pomorzanów”.

Leszka w Gąsawie zabił.

Zrazu sojusznik krzyżackiego Zakonu w dziele ujarznienia i podboju zawiślańskich Prusaków, wnet, poznawszy się na wartości przybyszów, stał się najzacieklejszym ich wrogiem.

Osadził ludem zbrojnym swoje zamki nad Wisłą, chwycił statki krzyżackie, żywność lupił, a Krzyżaków i ich służbę bez litości mordował.

Rycerze krzyżowi z Elbląga i Bałgi, siedzący na swych zamkach wśród ludu wrogiego, głód i nędzę cierpieli.

Nadaremnie papież wyprawił legata, Jakóba Pantaleona, późniejszego papieża Urbana Czwartego, żeby skłonić gdańskiego władcykę do zgody z Zakonem Krzyżaków.

Lecz ani groźby legata, ani prośby nie zdołały Świętopelka ugłaskać, gdy bracia jego Racibor i Sambor nanowo spiskować z Krzyżakami zaczęli.

Podburzył ludy Pomezanii, Warmii, Natangii, Bartonii.

Ludy te, przez Krzyżaków niedawno ochrzczone, porzuciły chrześcijaństwo i szły pod chorągwie Świętopelka, który przybyszów niemieckich w pień wycinać polecał.

Wszystkie zamki krzyżackie z ziemią zrównane zostały, z wyjątkiem Elbląga i Bałgi.

Z Pomezanii wódz Gdański poszedł ze swemi hufcami wpoprzek Ziemi Chełmińskiej pod Chełmno, Toruń i Radzyń.

Śmiercią ginął, ktokolwiek do tych trzech zamków nie zdołał się schronić.

Legat, Wilhelm z Modeny, ogłosił krucyatę przeciwko odszczepieńcy i tyranowi północy, który szerzył apostazję wśród ludów ochrzczonych i w jarzmo ujętych.

Rycerze krzyżowi zdobyli Sartawice niespodziewaną napaścią.

Teodoryk von Bernheim, marszałek Zakonu, we czterech rycerzy i dwudziestu ośmiu pacholka w nocy naszedł zamczysko i załogę wyrąbał.

Plądrując książęce komory, zdobywcy znaleźli szkatułę, której napis wyryty zaświadczał, że się w niej relikwia bezcenna, głowa świętej Barbary znajduje.

Marszałek zostawił w Sartawicach załogę, a sam, szczupłym otoczony oddziałem, uwiózł pod płaszczem krzyżowym zdobycz ponad wszystko znaczniejszą.

W grudniową zawięję, ciemną nocą, wskok popędził do Chełmna.

Lud cały, z duchowieństwem na czele wyszedł na powitanie świętości.

Wniesiono srebrną skrzynkę w procesyi do pierwszego po drodze kościoła.

Świętą Barbarę uznano za patronkę powiślańskiej krainy.

Świętopelk odbijał Sartawice wszelkimi sposoby, podstępem, układami i szturmem.

A nie mogąc nic wskurąć, nocą oblężenie porzucił, przeszedł Wisłę po lodzie i przeszedł Ziemię Chełmińską, pustosząc ją ogniem i mieczem.

Marszałek Teodoryk von Bernheim zebrał wszystkie swe siły, stoczył bitwę i pobił Świętopelka na głowę.

Dziewięćset Pomorzan legło na placu porażki, — znaczne łupy i czterysta koni dostało się w ręce zwycięzców.

Świętopelk wrócił na tamten brzeg Wisły i znowu Sartawice oblegał.

Marszałek poszedł za nim po lodach wiślanych, lecz książę spalił swój obóz i uszedł w bezludną, nadmorską krainę, przypadł na dalekim międzymorzu, w pustkach leśnych się ukrył.

Wtedy polscy książęta, — kujawski Kazimierz, Bolesław Pobożny kaliski i wielkopolski Przemysław, — pospołu z Krzyżakami Nakło oblegli i zdobyli.

Krzyżacy spustoszyli leśną ziemię Kaszubów, szukając w niej Świętopelka, i zagarnęli zachodnie Pomorze.

Książę gdański ukorzył się przed Zakonem, wydał Krzyżakom Sartawice, a w zakład wierności, najstarszego ze swych synów, Mestwina.

Lecz skoro tylko krzyżackie załogi odeszły spod Gdańska, podburzył ludy Sudawii nanowo, pociągnął Prusaków pod swoje chorągwie i ruszył w niziny Chełmińskie, do nogi mordując mieszkańców.

Brata Racibora, który z książętami polskimi się zwał, do więzienia wtrącił, a całą ziemię powiślańską, z wyjątkiem Chełmna, Torunia i Radzyna, spustoszył i spalił.

Berlewin, nowy marszałek Zakonu, zgromadził siły Krzyżackie i uderzył w najeźdźcę.

Początkowo Krzyżacy sukces w bitwie odnieśli, lecz, rozbiegłszy się za łupami, otoczeni zostali przez zastępy Pomorzan i Prusów.

Marszałek Berlewin poległ.

Z całego wojska Krzyżaków tylko dziesięciu rycerzy zdołało ucieczką się ocalić.

Rycerze, z Torunia na pomoc przybiegłszy, zastali już pole bitwy trupami zasłane, to też sromotnie uciekli.

Świętopelk popędził za nimi i niemalą klęskę im zadał.

Wróciwszy się pod Chełmno, oblegał tę twierdzę, ażeby syna Mestwina odebrać, który tam był więziony, oraz bezcenną szkatułkę z głową świętej Barbary.

Chełmno było tak wyludnione, iż biskup zachęcał dostojne niewiasty, by się łączyły z pacholkami i służbą.

Kobiety chełmińskie przywdziały były zbroje mężczyzn i wyszły na wały obronne do boju.

Komtur Chełmna i jego rycerze sekretnym sposobem, po nocy wysłali Świętopelkowi Mestwina do zamku Sartawic.

Ojciec powziął tę o synu wiadomość i we dwa tysiące żołnierza poszedł śladem synowskim, niszcząc wszystko po drodze, do ostatniej przyciesi i do ostatniego człowieka.

Tymczasem przy obleganiu twierdzy Chełmna poniósł klęskę i całą prawie siłę swoją utracił.

Rycerze zakonni wysłali Mestwina z tej ziemi zakrwawionej na dwór księcia Austrii, żeby go ojciec nie dostał.

Potrzenie Świętopelk podburzył Prusaków, splądrował Kujawy, mszcząc się na księciu Kazimierzu za Nakło.

W widłach starego i nowego Wisły koryta, poniżej zamku w Gniewie, pobudował zamek Zantyr w celu powstrzymywania rzecznych transportów krzyżackich.

Na lewym brzegu Wisły, niżej Chełmna, Świecie, jako miejsce swego wypadu, obwałował.

Lecz nowe poniósłszy porażki, powielekroć doznawszy klęsk wojennych, niestrudzony wojownik znowu prosił o pokój.

Opizzoni, opat Messyny, legat papieski zdjął zeń klątwę, gdy skruszony pokutnik zerwał wszelkie z poganami stosunki i obiecał pomagać Krzyżakom w dziele wytopienia bałwochwalców.

Obludnik przyobiecał wszelkie wypełnić żądania, byleby mu Zakon wydał syna i zwrócił relikwie.

Lecz ledwie pokój ów został zawarty, po raz czwarty zbuntował Prusaków, wtargnął w posiadłości krzyżackie od strony Gołubia nad Drwęcą i mordował bez litości pogłowie.

Spustoszył potem Kujawy i zabrał wielkie łupy, które jednak mistrz prowincji mu wydarł.

Po zawarciu nowego pokoju w połowie trzynastego stulecia Świętopelk nową, piątą z rzędu wojnę rozpoczął.

W ciągu dwunastu lat blisko, czasu władania wielkiego mistrza Zakonu Henryka von Hochenlohe, Świętopelk pomorski wiódł nieustanną, bezsensną i straszliwą walkę z Zakonem.

A jednym z najzawziętszych, jego haseł, jednym z celów, jedną z przyczyn rzezi najkrwawszych, łupiestw najbezlitośniejszych, pożogi bestyalskiej było posiadanie nanowo relikwii świętej Barbary, niegdyś na Helu wybrzeże przez burzę rzuconej.

Tak to czoło dziewicze, najświętszemi, najdalszemi od zbrodni tego świata nasycone myślami, znalazło się pośród mieczów skrwawionych i bezlitosnych toporów, nad potokami łez niedoli i w zwojach kłębow dymu, pomiędzy jękiem krzywdy i wrzaskami napaści, jako hasło rzezi dzikiej, jako zemsty okrzyk bojowy, i jako sztandar grzechu.

Wiele baśni przepływa pod checzy niskimi powały o burzy nad niezglębionem bujowiskiem.

Któż zaś wyrazić potrafi i jaka baśń odtworzyć straszliwość nocy jesiennej, wiszącej nad łodzią samotną, przez wichur miotaną w przewalach?

Któż zdoła wysłowić odwagę, cierpliwość i pracę samotnego człowieka, aby się burzy nie poddać, noc przetrwać i trafić do brzegu!

Lecz i w cichy lipcowy poranek strach na rybaka czatuje u spokojnego wybrzeża.

Strach czatuje i tam nawet, wtedy nawet, gdy rybak sieć swą chce zarzucić u płazy tego miecza morskiego, u tyłców tępych przyładka, gdzie się helska, niemiecka zatoka łagodnie w głąb lądu wygina.

Skoro rybak rzuci w wody kotwicę, by łódź nad głębią nieruchomo postawić i czekać na połów w spokoju, kotwica nie ima się gruntu.

Dzwoni pazur żelazny kotwicy o kamienie podbrzeżne, o skarpy potężne, pod piaskiem w opokę wkopane, o cegły czerwone, które w głębi pod zdiarami rdzewieją.

Z dna morza rumowice czerwone i kamień ciosowy wyziera.

Lęka się serce rybaka. Niemca dziś zawziętego, Kohnkela, lub Walkowsa, i strach wielkooki ogarnia Kąkolów i Walkowców potomka.

Serce, jego niepamiętne, jak u mewy, drży przed czemś strasznym i ciemnym.

Gdy bowiem rybak ucho nastawi wśród ciszy, dochodzą go dzwonów zatopionych rozgłosy i jęki.

Dziś na tem miejscu, gdzie stary gród słowiański się wznosił, — morze dzikie się pieni.

Gdzie stały kościoły i klasztor jeszcze w siedemnastym stuleciu, okrągły wzgórek załega, trawą bujniejszą, niż inne pokryty.

Samotna tam dzika róża oddaje nikłym swym kwiatem pozdrowienie — nikomu, — pustce, milczeniu.

Grube sosny, z gałęzmi na wschód schylnymi, szumią do wtóru morzu zgłodniałemu, które żywoty pożera, a trupy ze siebie na brzegi wyrzuca.

Nic tam nie zostało ze słowiańskiego grodziszczka, które Wartysław Pierwszy w piaski wkopał, Ratibor kościołem uświetnił, a Wojciech błogosławił na żywot.

Znikło do znaku, do ostatniego kamienia osiedle słowiańskie, a powstało w oddali osiedle niemieckie za czasów panowania nad tą ziemią Krzyżaków.

Niema na to żadnego pisanego dowodu, żeby się tu to samo dokonało, co w Gdańsku za wladztwa Henryka von Plotzke.

Tylko taksamo, jak w Gdańsku, kamień na kamieniu nie został ze słowiańskiego budowania, a nowe sioło niemieckie w kwitnym stanie powstało.

Legenda niemiecka powiada to samo o Helu, co powiedziała po zbrodni Dominika o Gdańsku, iż mieszkańcy dobrowolnie swoje stare domostwa spalili i zniszczyli i na inne się miejsca przenieśli.

A na tem nowem miejscu pobudowawszy swe domy, już byli od tej chwili i nazawsze Niemcami.

Powłada także legenda, iż mieszkańcy Jastarni są przybyszami i przesiedleńcami z tegoż Helu.

Czemu od doskonałej zatoki, od portu wygodnego i od najbliższego dostępu do bogatego w morskie ryby przestworza, od miejsca, co się tak wygrzewa w promieniach południa, iż tu dojrzewa winograd i figa, słowiańscy rybacy odeszli dobrowolnie na północ do przesmyku bez portu, do miejsca dalekiego od wypadu na morze?

Mieszkańcy dalekiej od Helu Jastarni, leżącej za borem niemałym, zachowali swój język prastary, słowiański i wiarę owego biskupa Wojciecha, który zatopione dziś w morzu kościoły poświęcał.

Niemcy, którzy na cudzych popiołach tak dobrze, tak wygodnie, tak mądrze, tak zdrowo, tak świetnie, przezornie i pięknie budować się umieją, zabrali pod swe nowe domostwa dawnej cerkwy Wartysława ostatnie kamienie.

I nic nie chcą powiedzieć, a nawet pamiętać, jak to się dokonało, iż stare owo miasto ziemia głucha pochłonęła i morze zimne zatopiło.

Przybiegali jeno doniedawna w owo miejsce samotne, żeby się nad uroczyskiem roz-
tkliwiać.

Wylewali swym zwyczajem sentyment nad miastem, które ich przodkowie zniweczyli.

Prozą i wierszem opiewali owe dzwony, których bicie zniemczony rybak słyszy, i dru-
kiem usiłowali przekazać innym Niemcom nastrój jakoby uzalenia się nad losem kościoła,
który ich przodkowie do ostatniego kamienia na zagładę skazali.

*

Tam, gdzie za czasów niemieckich puszcza się zaczynała dla niemieckiej siedziby, na
skrajach wielkiego lasu helskiego, — a gdzie dziś wre i kipi najbujniejsze właśnie życie,
założono niegdyś cmentarzysko dla wyrzuconych przez morze bezimiennych i nieznanym
topielców.

Mieli leżeć w pustce zupełnej, w ciszy bezwzględnej, w lesie głuchym między Jastarnią
i Helem.

A oto stało się, iż leżą między nowo zbudowaną stacją kolei żelaznej, i między świetnie
zbudowanymi gościnnymi domami dla rybaków wędrownych, dla Kaszubów, szukających
pracy na morzu.

Nanowo otoczyło ich życie, — przyszło za nimi, do tej bezimiennych pustelni.

Pewnie, że obojętną jest sprawą dla pokonanych przez morze, dla jego ofiar bezsilnych,
czy spać na dnie mulistym i być pożartym przez ryby i raki, przez gady i robactwo, — czy
spać w litym piasku międzymorza, w ostępie boru głuchego, a być pożartym przez jego
żaby i węże.

Lecz może matce sieroczej, co w ziemi dalekiej po nocach czekała i pustki wiecznej
nadaremnie prosiła się, aż do utraty ostatniej nadziei, o wieść, o znak od przepadłego
syna, — lżej będzie, gdy jej sen wieszczy podpowie, iż między ludźmi spoczywa.

Może dla niej ulgą to będzie, gdy on po nocy tysiąc mil duchem przeleci, i u węzłowa
stanie, ażeby to miejsce mocą sennego marzenia pokazać, — iż nie tuła się na dnie morza.

Bo straszna to przecie myśl, dla ludzkiego rozumu i nieznośne czucie dla serca matki
sieroczej, iż jej syn wałęsa się na dnie morza, nie mogąc znaleźć spoczynku, miotany i tar-
gany z miejsca na miejsce przez tajemnicze i straszliwe oceanu potwory, jakoby w duszy
szatana wysnzione, — przez dyabły morskie i rekiny, przez głowonogi ośmiornice, przez
gruboskorupe langusty, ohydne kraby, oślizgłe mięczaki, ukwiały i jeżowce.

Przeraźliwe to dla jej serca czucie, iż to on właśnie, on jedyny, spłacać musi dług zupełny
za wszystkie zbrodnie człowiecze względem mieszkańców morskiej głębinie spełnione.

To na nim samym mszczą się teraz morskie potwory, rozszarpując go i rwąc na sztuki,
za tysiące lat podstępów, oszustw, morderstw i ćwiertowań, których człowiek na ich rodzimym
dokonał.

Gdy go zaś morze ze swego łona na jasne strądy wymiotło, śpi według ludzkiego
obyczaju na suchego piasku pościeli i pod sosny zielonej gałęzią, którą ręka człowieka
złożyła.

Bezimienny gardzina, który o słońca zachodzie ziemię suchą porzucił, powrócił oto
z wyprawy.

Gwar pracy, odgłos ruchu z miejsca na miejsce, radosny krzyk życia ogłasza wokół jego
łóża wiecznego zwycięstwo człowieka nad łąkami suchymi i nad dzikimi morza obszary,
skoro taki jest los rodu ludzkiego na ziemi.

*

Oto co głosi jedna z rybackich wiestek na przymorzu:

Onego czasu wyjeżdżali na połów z kaszubskiego osiedla dwaj bracia rodzeni, dwaj
rybacy, do tegosamego należącego maszopstwa.

Mieli obadwaj mocne łodzie, uszczelnione pracowicie, z maszty, z żaglami, z kotwicą,
we wszelki zaopatrzone przyrząd i statek.

Każda tedy z tych łodzi miała olinowanie należyte, ster czyli wojo, wiosła okute i nie-
okute paczyny, albo pojazdy, plichtë na przedzie, oporki i nożnice, pałasz boczny i kor-
czaki, czyli stągwie do wylewania wody.

Obadwaj maszopi mieli sieci głębokie i oplawne na łososie, którymi się parali od marca do świętego Wojciecha i mieli skarpie niewody, które znowu ciskali od wiosennych roztopów aż po świętojańskie poranki.

Mieli głady i brodniki dla połowu małej rybki tobijaszka, którą się wyrzuca na przynętę węgorza, — i mieli gęstookie sieci na śledzie, oraz niewody na węgorza, którymi zaciągali od Narodzenia Panny Maryi aż do świętej Jadwigi.

Mieli także wszelkie wędy, czyli takle, do chwytania na przynętę wędrownego łososia, idącego w swoją drogę w stumetrowej głębinie.

Z tym to przyrzędem puszczali się w słone morze i na bystre jego szory.

Na rybitwę małomorską wychodzili z bodorem, którym wojowali węgorze od świętego Marcina aż do Gromnic.

Mieli konopne, gdańskie, wite niewody do łowitwy na łodziach z wyrzuceniem kowtwicy.

Mieli mocne brodniki, a temi znowu wygarniali piskorze i wszelką inną słodkowodą rybę od świętego Wojciecha do Świątek i od Świątek po Dominika.

Mieli również waty na raki, a wiecierze na tłustą rybę, — dargi z mosiężnymi łańcuszki na czujnego szczupaka i zwykle wędy na węgorze.

Snadniej pewnie było obudwu braciom Kąkolom, starszemu Józefowi z przezwiskiem Marycin, — od imienia żony Maryki, — i młodszemu Janowi, z przydomkiem Litak, — wypadać w Małe Morze.

Zepchnąć jeno baty ze spychu i biec w rodzonej fali, na oczach mając domostwo i noc pewną pod strzechą.

Skoro jednak wypadło biec w Słowińskie na morską rybitwę, ciężką musieli pracę podejmować.

Nie dane im było posiadać zacisznej przystani, gdzieby w spokoju i bez wiatru można było przygotować wyprawę na ów połów godziwy.

Nie mieli miejsca ucieczki, gdy czarna burza spędzi rybaka z przestworu, a do ucieczki przynagli.

A nawet, plonem godziwym obarczeni, musieli ponad siły przy złym wietrze pracować, z tak daleka do dom wracając, gdyż trzeba było przecie Hel prawie cały z obu jego stron remami obciągnąć.

Wiatry morskie nimi, jako wola, rządziły, skoro się w dal wybierali, porówno ze swojakami z Jastarni, Boru, Kuźnicy i Chałup, — porówno ze wszystkimi tamtego brzegu, ze Swarzewa, z Osłanina, z Mrzezina, z Rewy, z Gnieździewa, z Oxywia, czy tam z Gdyni.

Tak to dnia jednego, w samym zaczątku jesieni, bracia Kąkolowie, starszy Józef, Marycin, i młodszy, przezwiskiem Litak pociągnęli na pojazd w tamto morze.

A wyruszyli zaś głęboko jeszcze nadedniem, o dobrze ciemnej nocy, gdy pochodnica zaranna sama jeno stała w niebiesiech, jako blask rozogniony.

Łagodna bryza zachodnia skrzydła płócienne wydymała, gdy za Borem białe, wysokie brzegi ledwie w mroku widoczne mijali.

Józef, jako należy starszemu i przedniemu w maszopstwie, jechał przodem w swej kwaczy, patrząc się wiernie na gwiazdę.

Jan ciągnął za nim posłusznie, w brózdę bratową, helmą steru ledwie ledwie dotknięciem dłoni wprawiając.

Podobnie jako brat starszy, z gwiazdy pochodnicy spojrzenia nie zdejmował.

Pierwszy się oto brzask niecił za helskim staroborem, gdy dwie pomorzance kępę, głowę gołębia, półokręgiem dalekim na toni okrążyły.

Na bystrz ciemną spłynął, przedświt niejasny a w serca braci rybaków niejasna spłynęła radość.

Obadwaj tam nieruchomi jednako, jakby z kamienia wykuci, szuty jeno swych płócien pociągając, aby się podmuchowi przeciwowały, dusze swe blaskiem niebiańskim poili.

Chwalili bezsłownem czuciem w pokorze prostych serc Pańskie poranne dzieło.

Gdy zaś wymijali boję, wiecznie wzdychającą na toni przy tamtym już brzegu, dzień był biały.

Daleko wysunąwszy się w łowiszcze, kędyś naprost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać.

Każdy z braci wymiatał sieć swoją, złożoną z matni i dwu krótkich skrzydeł, opatrzonych deskami, które służą do rozpięcia niewodu.

Do skrzydeł i do desek przywiązane mieli długie liny, których końce zostawały w każdej z dwu łodzi, idących pod żaglem.

Niewody, przez łodzie ciągnięte, szły po dnie, zagarniając do matni płastugi, stornie, gładysy, a strasząc je pękami charszczu twardego, przytwierdzonymi do liny.

Co pewien czas, to Józef, to Jan wyciągał do wnętrza łodzi swój niewód i wytrząsał z macicy połów dnia tego nad podziw ogromny.

Napełniły się storniami, gładysami, bańtkami dna pomeranków, a dusze rybaków radosne były od pracy i jej pomyślnego wyniku.

Południe przeminęło, — na tę porę strasznie skwarne, parne i duszne, płonące od słonecznych promieni.

Ledwie zaś przeminęło południe, wicher niespodziany skądś powiał.

Morze wzburzyło się nagle.

Fala zarywać się poczęła do topieli, a widnokrąg zawłócił się mrokiem, prawie nocnym.

Zdumieni się obaj rybacy i oczy przecierali, własnym nie wierząc spojrzeniom.

Stała przed ich źrenicami na zachodnim skłonie nieba i gnała ku nim właśnie trąba czarna, ukrecona z powietrza i z wody.

Zwara wodna poderwała się z miejsca niskiego, a wiatr lotem po drogach kołowych zawijał ją w lej, skaczący po morzu i trzepiący się w pianach, jako ryba niezmierna.

Powietrze, rzutem z okolicy wyższego do niższego ciśnienia popchnięte, złączyło się z wirem wodnym, jakby go pocałunkami poderwało do siebie.

Słup czarny środkiem morza z zachodu ku wschodowi gnał, wirując.

Ponad tymto czarnym krążelem rozpostarła się potężna ciemna chmura, wylewająca strugi deszczu.

Wokół górnego lba potwory tłukły się masy porozdzieranych obłoków, pędząc od wnętrza wiru ku jego bokom wygiętym.

Zgasło do cna słońce w potopie ulewy.

Z dnia jasnego nagle ciemna noc się stała.

Błyskawice raz wraz rozpałały niezłomne ściany wieży lecącej, a grzmot rozbijał się w obrębie jej zakola.

Obadwaj bracia rybacy rzucili się do ucieczki.

Lecz w którejkolwiek pomknęli się stronę, wiosłami pracując, zawsze wirowy bieg wichury gnał ich ku środkowi zjawiska.

Stargane zostały płótna żagli.

Gdzieś się sieci podziały.

Wyrwały się z rąk i pognały w burzę remy wiosel.

Woda górna spadać poczęła w łódź każdą i napełniać ją sobą.

Rozradowały się ryby złowione pod nogami oszalałych rybaków.

Bałwany, kręgiem zwijające się po nad skutą Józefa i po nad skutą Janową, wałem syczącym wyniesione, grzywą wścieklej piany obrosłe, przybrały kształty potworów, które zdało się, z głębin morza wypadły.

Wirem gnało obiedwie łodzie, trzaskające się wzajem bokami.

Krzyk obydwu rybaków stał się obłąkany i głupi, gdy widzieli, iż giną.

Ale starszy wiekiem i w rzemiośle rybackiem zmacał i ujął przecie w sobie twarde męstwo.

Począł młodszemu rozkazywać.

Zakrzyknął: — wodę — korczakiem!

Rzucił się młodszy do korczaków i szufli wylewnych.

Oburącz począł wodę z łodzi nazewnątrz wymiatać.

Krzyże jego zginały się po tysiąc razy, szybciej niż biegnie słowo opisu, ręce w szaleństwie wylewały wodę z głębi.

Starszy czynił to samo w swojej łodzi.

Słychać było w ryku burzy sapanie obudwu i bezładne słowa modlitewnego skamłania.

Lecz mimo pracy tak wścieklej, iż zdolna była siłę burzy pokonać, widzieli obadwaj z przerażeniem, iż się łodzie zanurzają od wzrastającego ciężaru i że wody nie ubywa, lecz przybywa.

Złani potem wewnętrznym, bardziej, niż potopem zewnętrznym ulewy, noc mieli w oczach, a w duszach szaleństwo.

Bose ich nogi ślizgały się w lepkiej masie ciał rybich, rojących się na dnie łodzi, aż się obaj raz za razem na wznak w wodę walili.

Poskoczyli tedy samowtór obiema stopami na burty.

Na nich stojąc, pracowali bez wytchnienia i aż do ostatniego oddechu.

Krzyk młodszego stawał się coraz częstszy, głośniejszy.

Starszy obejrzał się poza siebie i straszliwą rzecz zobaczył.

Łódź Jana była pełna wody, a on sam stał okrakiem na nadburciu, we wodzie, aż do kostek.

Burty kwaczy, raz bakortem, drugi raz sztymborkiem wynurzały się z piany, jakby jeszcze poratunku szukając.

Rudel pod ciężarem rybaka całkiem się w wodę zawałił.

Plichta statku stromo wylazła i, kołysząc się, stała nad falą.

Przelewy morza szły nad łodzią i między nogami rybaka.

I oto rozległ się krzyk: — bracie, ratuj!

W czarnych bryłach wody Józef zobaczył młodszego, jako płynie ku niemu.

A sam stał po kolana w przewalach, a sam widział, że mu w łodzi już po nadburciu przybrało, a sam czuł, że mu siły w ramionach ubywa.

W ocmgnieniu zobaczył w głębi siebie twarze dzieci i oczy białki miłowanej.

W takiej oto złej minucie brat Jan ze skowyczeniem rozpaczy do jego burty się dorwał.

W takiej oto złej minucie koślawą lewą dłonią zgrzytał po niej pazurami.

Poczuł we wnętrzości swej Józef zimne i jasne rozumienie, że skoro drugi człowiek do łodzi tej się wwali, nie strzyma statek zatopiony zdwojonego ciężaru i natychmiast na dno pójdzie.

I spokojny mu to rozmyśl kazał zrobić, co się wykonaniem spełniło.

Józef schylił się nagłym ruchem, porwał za uchwyt wiosła, co przy bakorcie leżało, i pchnął nim w głowę Jana.

A potem widział jego ręce, to tam, to sam plaskające między piany, to w głębi, to wierzchem.

I chargot jego słyszał, to we wodzie, to nad wodą.

Raz jeszcze widział jego oczy wpatrzone.

Wtedy otwarła się chmura ponad burzy ośrodkiem i na mgnienie powieki ukazało się niebo.

Wiatr pchnął łódź w jakiś okrąg odmienny i poniósł ją w białych pianach dziobem na dół, albo rufą w otchłani, z boku na bok ją magał w przepaściach.

Józef chwycił wodę czerpakiem, bez jednej chwili wytchnienia.

A gdy zdało mu się ukradkiem oczy podnieść za siebie, nie widział już leja wody.

Wiatr srogi dokąś go pędził.

Ani się spostrzegł spracowany, że, mimo ulewnego wciąż deszczu, wody mu w łodzi ubyło.

Gorąco wielkiego szczęścia wskroś ciała jego przejęło.

Wtedy rozejrzał się po okręgach, na wszystkie strony wołając: — Litak! Litak!

Ale morze jeno zbiegane w odpowiedzi chlastało.

A nim wszystkę wodę z czółna zdołał wylać do kropli, dało mu się uczuć przyciszenie orkanu.

Czarny rdzeń burzy kędyś na wschód pocwałował.

Nadeszła wreszcie szczęśliwa minuta, iż Józef przysiadł na duchcie.

Pot otarł z czoła.

A choć przewał jeden po drugim miotał na wsze strony pławaczką, rybak nie mógł się z miejsca podźwignąć.

Nie mógł myśli swych ruszyć z tego miejsca na burcie, nie mógł oczu zepchnąć wołą z tego miejsca przy dulce, gdzie był widział skostniałą rękę Litaka.

Aż wreszcie runął na błotniste dno łodzi, twarzą między stornie i bańtki.

Długo tam nad nim wiatr huczał i ostra go fala zlewała.
Gdy się zaś porwał o jakiejś godzinie, posępny wieczór zapadał.
Widać było w pobliżu białe helskie wybrzeże.
Niemilknący nigdy głos boi, gwizdziela morskiego, w oddali, w swoim miejscu narzekał.
Ach, któż wyrazić potrafi straszliwość nocy jesiennej, zwisającej nad łodzią samotną!
Ach, któż wyrazić potrafi nieszczęście grzesznika, dźwigającego po falach uczynku wspomnienie.
Maszop ujął swe wiosło, ocalone z pogromu.
Patrzył na pióro pojazdy, którym między oczy Litaka uderzył.
Wymacał to miejsce na wiosle struchlałymi palcami.
Milczenie mu wiekuiste nakazał.
Ze wszej mocy ramienia bratobójczą pojazdą pracując, opłynął przyłodek.
Zawrócił nos łodzi ku stronie rodzinnej.
Ujrzał wreszcie dziecińskie uśmiechy, białki oczy splakane.
Matki oczy skostniałe, pytające się o tamtego.
Dał w załamane jej palce, w szale targające siwe włosy, wiadomość złowrogą, iż orkan zatopił Litaka.
Zachował przed urzędem maszopskim spokojność i godność i zimno dostojne oblicza, gdy, zataiwszy uczynek, wszystko na opak wykręcił.
Wzruszali się mężowie, mocy morza świadomi, słysząc, jako się z bratem obadwaj bronili, jako tamten, daleko wichrami porwany nie strzymał, a starszy nadaremnie go szukał w przepaściach.
Chwalili starszego Kąkola za pracę, za ofiarność, za spokój, za męstwo.
Wieść o nim poszła, od checzy do checzy, od siola do siola.
Trzecie morze łez wypłynęło, od tamtych nie mniejsze, ze starych oczu matczynych pod cerkwy drewnianym pułapem.
Thukł się w ciągu dni i tygodni pogwarek o straszliwej niedoli Litaka.
A potem sprawy chorób i jadła zatatrały wspomnienie.
Nie zapomniało serce matki.
Nie zapomniało wnętrze brata.
Skoro Józef wybiegał na połów w Wielkie-li, Małe-li morze, — daleko od brzegów odbijał.
Szukał po dnie poprzez wody, przepatrywał oczyma.
Przepatrywał fale przeczyste.
I ryczał w spienioną pustynię z głębi wnętrza, targanego od straszliwej męczarni: — Litak! Litak!
A nieraz, wstawszy w nocy, rzekomo do łodzi, na wywłóce spokojnie leżącej, rzekomo do sieci rozwieszonych na potyczach i sochach, brnął na duny dalekie, pustynne, na dzikie wybrzeże i wył w ciemne morze, aby ulżyć wewnętrznej boleści: — Litak! Litak!
Lecz na głos duszy wzywającej głos morza chrapliwie i z sykiem jednakiej zawždy odpowiedzi udzielał.
Na głos duszy wzywającej gwizdziel jeno morski, pław żelazny, ze swego miejsca w oddali, głuchy jęk, niby śpiewkę wieczności odrzucał.
Minęły dnie długie i leniwe tygodnie.
Gdy zaś na jesieni łososie podpłynęły do brzegu i cały lud rybacki wybiegał, aby maszopstwami, poporządkiem, a pod szyprą komendą toń zajmować, Józef stanął wraz z innymi do pracy.
Zostawiwszy stułokciową linę na brzegu, wyjechał w wielkim bacie na morze, wyrzucił prawe skrzydło, macicę, lewe skrzydło niewodu.
Wrócił duchem do brzegu, drugą linę przywożąc.
Stanął sam i pierwszy szłą na ramię zarzucił, — za nim białka i dzieci, a nawet matka stara.
Idąc zaś wstecz a powoli, idąc jedno za drugim, spokojnie niewód ciągnęli.
Było bowiem ciężko w macicy i srodze się w niej godne ryby targały.
Radość opanowała rodzinę.
Skoro już gruba matnia wytoczyła się w strądy, ujrzeni, iż jest pełna nad podziw.

Lecz wnet radość powszechna w straszne przemieniła się czucie, gdy wśród wielkich lososi, skaczących w górę po piasku, ujrzeli nieruchomego Litaka.

Kałem morskim zwałany, a oblepiony kidzeną, z raną krwawą na czole leżał z rozkrzyżowanymi rękami.

Przyszedł oto nierychło na wołanie Józefa.

Z głębin morza dalekich, a z bełku przypadłego powrócił, żeby u stopy braterskiej jasne czoło położyć.

O niespodzianej godzinie.

*

Nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana, — przed tysiącleciem, czyli dzisiaj nadedniem.

Przychodzi po tajemniczą zapłatę o niespodzianej godzinie, jako złodziej.

Lecz czyliż ma śmiertelny, — jako złodziej, — tylko na echo zbrodni, kiedykolwiek dokonanej, chciwego ucha nastawiać?

Czyliż ma słuchać tylko dzwonów, które biją z głębin morza, z miast do cna zatopionych?

Trzeba drugie ucho nastawić na głos dzwonów, bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.

Bo jak w amarantowym kwiecie pelargonii trwa nieprzerwany upał, ruch, pęd, rozwój i życie, a naszym oczom ukazuje się tylko niemy i zastygły stan kwitnienia, taksamo winno być ze stanem wewnętrznym i z formą zewnętrzną człowieka.

Cierpienie i rozkosz wewnątrz być winny.

Nazewnątrz winien być stan nieodmienny uśmiechu.

O, święty, o, boski dzwone nowy!

W każdym twoim dźwięku jest więcej, niż było w najbujniejszym marzeniu lat młodych, w najpotężniejszym lat męskich zamachu!

Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!

Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny.

Przychodzimy jako spadkobiercy Krzywoustego drużyny.

Ona po przez lasy przerąbała pierwszą drogę dla cichego apostołstwa synów bożych.

Ona szła wielkie rzesze słowiańskie wesprzeć o polskie mocarstwo, obronić i zachować.

My przychodzimy, gdy już rzesze słowiańskie pochłonięte zostały i zniszczone na wieki.

Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady uchronić.

Lecz brzmi wśród nas ta sama, nowotna po wsze czasy, cantilena radosna.

Przybywszy na to jałowe wybrzeże, budujemy portowe paliszcza, wprawiamy w ruch nowe koleje, prowadzimy poprzez błota bite drogi i zbogacamy mieszkańców.

Mowę ich bezcenną zachowujemy od zguby.

Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda, stolema, który z oxywskiego półwyspu ciskał wielkie głazy w Radłowo, sypią się na radłowskim pobrzeżu nowe piękne osiedla.

Strzały armat ze statków wojennych łoskot roznoszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępiciele nigdy tu już nie postanie.

Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy.

Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój.

Przynosimy dobro i pracę.

PRZYPISY

Dla uniknięcia niejasności, oraz posądzeń o tworzenie neologizmów, co może się nasunąć wskutek wprowadzenia pewnych nowych nazw i określeń, podaję tutaj miejsce narodzin każdego z tych przybłądów do literackiego, wielkomięskiego języka.

Bakort, — lewy bok łodzi. (Bolesław Ślaski. *Słownik morsko-rybołówczy*, Poznań 1922).

Bańka, — mała fładra, *Pleuronectes flessus*. (Ks. Hieronim Gołębiowski. *Obrazki rybackie*, Pelplin 1910).

Bat, — łódź rybacka o jednym maszcie. (Ślaski. *Słownik mor. ryboł.*).

Bełk, — kotlina na dnie morza formy leja. (Ślaski. *Słownik*).

Bełt, — cieśnina morska. (Samuel Bogumił Linde. *Słownik języka polskiego*, Lwów 1854).

Bodór — ość rybacka na węgorze. (Ślaski. *Materyały i przyczynki do dziejów...* Pucka, Warszawa 1916).

Boja, — syrena pływająca, *Heulboje*, gwizdziel. (Ślaski. *Słownik*).

Brodnik, — niewód pomniejszy do ciągnięcia po dnie morza. (Ślaski. *Słownik*).

Bujowisko, — morze sfalowane. (Ślaski. *Słownik*).

Burta, — bok statku. (Ślaski. *Słownik*).

Bryza, — franc. *la brise*, — lekki a stały wiatr na morzu. (Ślaski. *Słownik*).

Bystrz, — prąd morski, nurt. (Ślaski. *Słownik*).

Charszcz, czyli *wydmuszycza*, — roślina do utrwalania piasków nad morzem. (Gołębiowski. *Obrazki rybackie*).

Cerkwa, kaszubskie *cerkujka*, kościół. (Stefan Ramułt. *Słownik języka pomorskiego*, Kraków 1893).

Checze, — mieszkanie. (Ramułt. *Słownik*).

Darga, — węda na szczupaki. (Ślaski. *Słownik*).

Denega, wzburzone morze. (Wosz Budzysz. *Nowotne spiewe*, Poznań 1910).

Dorsz, czyli *pomuchla*, *Gadus morrhua*, ryba poławiająca się jedynie w głębokich warstwach wschodniego Bałtyku. (Prof. Dr. Antoni Jakubski. *Rys biologii polskiego morza*, Lwów — Warszawa 1923).

Drygawica, czyli *stęp*, — sieć na Wiśle używana. (Ślaski. *Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle*, Warszawa 1917).

Dulka, — kołek żelazny w burcie statku do opierania wiosła. (Ślaski. *Słownik*).

Duna, — wydma piasku, zaspą, morska góra. (Ślaski. *Słownik*).

Głada, — cicha morska toń. (Ślaski. *Słownik*).

Gładysa, — stornia gładka, bez kolców, *Rhombus laevis*. (Ślaski. *Słownik*).

Gruntownik, — niewód, po dnie chodzący. (Ślaski. *Słownik*).

Gwizdziel, czyli *boja*, — pływająca syrena. (Ślaski. *Słownik*).

Hak, — ławica piaskowa w morzu. (Ślaski. *Słownik*).

Helmąt, czyli *hamulec*, — rękojeść, trzon steru. (Ślaski. *Słownik*).

Kidzena, czyli *webło*, — trawa morska, *Zostera marina*. (Gołębiowski, *Obrazki*).

Kiełpie, — łabędzie. (Ślaski. *Słownik*).

Kipiel, — wielka fala na morzu, niemiec. *Brandung*. (Ślaski. *Słownik*).

Klin, *kliver*, *foca*, franc. *le foc*, — żagiel trójkątny na przodzie statku. (Ślaski. *Słownik*).

Korczak, — naczynie do wylewania wody. (Linde. *Słownik*).

Krążel, czy *krężel*, — walec drewniany w przęślicy. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Kręcicha, — wielki niewód, wyciągany zapomocą kołowrotów. (Gołębiowski. *Obrazki*).

Kwacza, — statek rybacki o jednym lub dwu masztach, niem. *Quase*. (Ślaski. *Słownik*).

Łowiszcze, czyli *toń*, — obszar wód, na którym odbywa się łów siecią. (Ślaski. *Słownik*).

Maszopstwo, — spółka rybaków, łowiąca na własny rachunek. (Ramułt. *Słownik*).

Mierzeja, — wąski pas łądu, odgradzający zatokę od morza. (Prof. Melchior Neumayr. *Dzieje ziemi*. Warszawa 1912).

Mikolajek amethystowy, *Eryngium maritimum*, niem. *Stranddiestel*. (Dr. January Kłodziejczyk. *Krajobrazy roślinne nad Wisłą*. Warszawa).

Nadburcie, czyli *dolban*, górna listwa nad burtą. (Ślaski. *Słownik*).

Nieobaczkiem, albo z *nieobaczka*, — niespodzianie, chyłkiem. (Linde. *Słownik*).

Nietota, czyli *skrzyż*, *widlak*, ślad przedpotopowego wielkokrzewu. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Paczyna, — wiosło duże. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Paliszcz, — grobla z palów, w dno morza bitych, francusk. *estacade*. (Kazimierz Mokłowski w *Historji budownictwa drzewnego* paliszczami nazywa budowle nawodne). Ponieważ nie posiadamy nazwy na oznaczenie pojęcia *estacade*, *digue molo*, — użyłem wyrazu *paliszcz*.

Pałasz, — skrzydło drewniane w formie deski, umocowane z boku łodzi dla nadania jej większej ostojności na wodzie. (Ślaski. *Słownik*).

Pawłoka, — bardzo cienka tkanina. „Zewlekli Jezusa i oblekli w pawłokę.” „Pawłoką jasną twarz zarzucił”. „Włosy głowy twojej, jako pawłoka królewska”. (Linde. *Słownik*).

Płaskość, — franc. *la plage*, nadbrzeże. Wyraz, zasłyszany przez Antoniego Sygietyńskiego z ust rybaków nadwiślańskich i używany przezeń, na oznaczenie „plaży”.

Pławaczka, — łódź. „O, białoskrzydła, morska pławaczko, wychowanico Idy wysokiej, łodzi, bukowa...” (Jan Kochanowski. *Odprawa posłów greckich*. Chorus).

Pochodnica, — gwiazda zaranna. „...pochodnica świtu, ta Polaków obronna *stella matutina*”. (Juljusz Słowacki *Zawisza Czarny*).

Podplusk, czy *dokład wody*, albo *szelinga*, — fala zalewająca strąd i wracająca do morza. (Ślaski. *Słownik*).

Pióro, albo *ciągło*, — dolna część wiosła, w wodzie zanurzona. „Pióra zowią się końce płaskie u pojazdów”. (Linde. *Słownik*).

Plastuga, — fładra, gatunek należący do rodziny *plastugowatych*, czyli *bokopływów*, *Pleuronectidae*. (Prof. Dr. Antoni Jakubski. *Zarys biologii polskiego morza*).

Plichta, — przód łodzi z budką dla składania rzeczy. (Linde. *Słownik*. Ślaski. *Słownik*).

Pojazda, — wiosło nieokute. „Przy burtach obu rozsadził pojazdy”. (Klonowicz. Linde. *Słownik*. Ślaski. *Słownik*).

Prysk, — silne bicie bałwanów, wielka fala na morzu. (Ślaski. *Słownik*).

Przelewa, — silnie wzdymająca się i opadająca fala. (Ślaski. *Słownik*). „Gdy bok już czółna nurza się w przelewie, drugi wał dźwignie i nie dał zacichać”. (Linde. *Słownik*).

Przewał, — wielki napływ fali. (Linde. *Słownik*).

Potycz, czyli *socha*, — drążek z rozszczępem u góry, wbijany na lądzie do zawieszania sieci. (Ślaski. *Słownik*. Linde. *Słownik*).

Remy, — wiosła nieokute. (Ślaski. *Słownik*).

Rewa, — ławica piaszkowa, ciągnąca się w morzu, podwodzie. (Ślaski. *Słownik*).

Rudel, albo *rudło*, — „Rudel jest w tyle statku wychodzi za bode, którym sternik według potrzeby kieruje”. (Linde. *Słownik*).

Rufa, — tylna część okrętu. (Linde. *Słownik*).

Sady, — ciemno siwy. „Wółków go sadych ciągnęła para”. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Siodłaty, — szarawy. „Gęsi szarawe, siodłate i pstre nie są tak użyteczne, jak białe”. (Linde. *Słownik*).

Snadzizna, — mielizna, płycizna w morzu, mianowicie przy brzegu. „Z powodu snadzizny Małego Morza...” (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Spych, — urwisty, obsypujący się brzeg, wiszar, franc. *la falaise*. (Ślaski. *Słownik*).

Stornia, — fładra wyrosła. (Ślaski. *Słownik*).

Stroisz, — długa laska, trzon u bodora. (Ślaski. *Słownik*).

Strąd, — brzeg morski, zwłaszcza płaski, nadmorze. (Ślaski. *Słownik*).

Strona, — wąska smuga wody tuż przy brzegu Wielkiego Morza, pomiędzy progciem a suchą rewą. (Ślaski. *Słownik*).

Sustawy, albo stawy, — „Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć”. (Juljusz Słowacki. *Ojciec zadżumionych*).

Szkuta, — statek wodny. (Linde. *Słownik*).

Szor, — bardzo głęboka woda na morzu, w znacznym oddaleniu od brzegów, odznaczająca się ciemną barwą, wart morski. (Ślaski. *Słownik*). „Woda prze szorem, woda płynie bystro”. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Sztymbork, — prawy bok statku. (Ślaski. Sł.).

Szut, — lina do przytrzymywania dolnego, zewnętrznego rogu żagla w pewnym kierunku do wiatru. (Ślaski. Słownik).

Szyper, — starszy rybak, położony nad maszoperyą. (Gołębiowski. *Obrazki*).

Takiel, — olinowanie i użaglenie statku. (A. Kleczkowski. *Rejestr budowy gaelony*. Kraków 1915).

Topżagiel, czyli *wrona*, — mały żagielek u szczytu masztu ponad wielkim żaglem. (Ślaski. Słownik).

Tram, — belka główna. „Ciężki tram na zranione ramiona Jezusowe”. „Las tramami zarosły”. (Linde. Słownik).

Uchwat, czyli *gryf*, — rękojeść, górna część pojazdy, wiosła. (Ślaski. Słownik).

Wart, — Główny prąd rzeki. „Nurt krzywy i gościniec główny, gdzie ma iść szkuta i dubas warowny, wartem nazywa rotman”. (Klonowicz. Flis).

Wata, — gęsta siatka rybacka na dwu drążkach. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

Webło, czyli morszczyzna, trawa morska. (*Słownik warszawski Karłowicza*. Prof. Dr. Jakubski. *Rys biologii polskiego morza*).

Wetna, — bałwan morski, fala, wał wodny. „Bóg wzburza morze, a szumią głośno wetny jego”. (Linde. Słownik).

Wiestka, — baśń, opowieść. „... jest na Wschodzie wiestka, że się w róży kocha słowik”. (Juljusz Słowacki. *Zawisza Czarny*).

Więcierz, albo *zak*, — sieć na węgorze. (Ślaski. Słownik).

Wik, — *Putziger Wieck*, Małe Morze. (Ślaski. Słownik).

Wojo, ster u łodzi. (Ślaski. Słownik).

Wywłoka, — miejsce na strądzie, przeznaczone dla wyciąganych z morza łodzi. (Ślaski. Sł.).

Wydmuszycza, czyli wydmuchrzyca, — charszcz, *Elymus arcuarius*, niem. *Strandbafer*. (*Słownik warszawski Karłowicza*. Ślaski. Słownik).

Zielenica, — przestrzeń wód morskich w niewielkiej odległości od strądu, odznaczająca się piękną zieloną barwą. Głębokość wody w takich miejscach wynosi kilka metrów. (Ślaski. Słownik).

Zasiąklę, — jeziorko wody stojącej po wylewie, nazewnątrz koryta Wisły. (Ślaski. *Rybołówstwo i rybolówcy na Wiśle*).

Zdziar, — wybrzeże, drobnym kamieniem usiane. (Ślaski. *Rybołówstwo i rybolówcy na Wiśle*).

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/miedzymorze>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Między morze, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Nakład T-wa Wydawniczego w Warszawie, Warszawa-Kraków 1924.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: Jonny Longrigg@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-1047-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.